

Dziś w numerze: • Czerwony Jansiu • Kto nie był, niech żałuje • Na marginesie łódzkich spotkań teatralnych • Kim on był? • Roztańczone lalki • Recenzje • Felietony



I (513)
T. I. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

odgłosy

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

JANUSZ ROSZKO

Szlachcic na słonecznej zagrodzie

Wąs u niego staropolski, sumiasty i wielki; biały kozuch przez wiatr rozwiany, gdy pędzi przez swój ukochany Jędrzejów. A on sam, czyli Tadeusz Przytkowski — ostatni szlachcic Rzeczypospolitej woli jędrzejowski rynek niż sam Plac de l'Etoile i do swego domu z zieloną kopułą jednak w Rzymie bawiąc czy Paryżu tęsknie wzdycha. Konstantemu Paustowskiemu wydał się podobny do Pierre Biezuchowa z tolstojowskiej „Wojny i pokoju” — ale Biezuchow nie miał ani tyle energii, ani tyle dowcipu, wreszcie nie miał aparycji intelektualisty. Wreszcie — co jest rzeczą oczywistą — nie zbierał zegarów słonecznych, ani ich nie konstruował. W antykwariatach Londynu czy Paryża znają go od dziecka niemal bo jego ojciec, dr Feliks Przytkowski jeszcze zegary słoneczne składował. Gdy przyjdzie klient i powie: „Proszę mi sprzedać ten zegar słoneczny z wysławy” — wówczas antykwariusz odpowie: „Niestety, drogi panie, ale ten zegar jest zarezerwowany dla pana Przytkowskiego z Jędrzejowa. Przyjedzie wiosną — a gdy nie kupi wówczas będzie miał pan pierwszeństwo”. Zdumiony niedoszły nabywca woła — „A gdzie jest ten Jędrzejów?” i otrzymuje odpowiedź: „Gdzieś bardzo daleko na Wschodzie, pan Przytkowski powiada, że w Polsce!” Tak więc nazwisko Przytkowskich znane jest również w stolicach świata, może nie na równi z nazwiskami dawnych polskich arystokratów, którzy oświecali Paryż czy Rzym nieprzebranymi bogactwami — ale znane jest go. Gdy w XVI wieku Potocka chciała się za Przytkowskiego wydać — Przytkowscy ponoć nie dopuścili

Dalszy ciąg na str. 5

STANISŁAW KASZYŃSKI

Poeta Reymont

Czytam rękopisy wierszy autora „Chłopów”. Rozczytuję się w nich ze zrozumiałym zainteresowaniem, lecz jest ono dość osobliwego pokroju; w miarę lektury, ciekawość ustępuje miejsca zdziwieniu, zakłopotaniu. Pojmuję wahanie, może tak badacz tej twórczości — jakże zresztą nielicznych! — którzy jakby nie mieli odwagi udostępnić produkcji poetyckiej kawałka Reymonta. Ograniczali się jedynie do stwierdzeń: wiersze to nieudolne, nieporadne, żenujące. Sądzą jednak, że postępowali niewłaściwie; nie jest to karta aż tak wstydliva, jeśli odczytywać ją jako dokument, jako specyficzny komentarz do formowania się osobowości przyszłego znakomitego pisarza. Są tu bowiem zawiazki pewnych idei i postaw, które z biegiem czasu zyskały dojrzałość pod względem literackim kształty, a niekiedy wręcz inne, przeciwnostawne, w sensie ideowym, sformułowania.

W poezji Reymont szukał nie tylko ucieczki od niepomyślności życiowych. W jednym z pierwszych wierszy zwierzał się:

„A ja chcę pisać, gdy spać wypada,
Wtedy mnie siła natchnień napada,
I myśli błądzą po bezbrzeżnym świecie,
By ideały znaleźć pocie” (1882)¹

Sięgał przeto znacznie wyżej, głębiej, szukając w poezji rekompensaty, jakiegoś antidotum przeciw bezbarwności życia, usiłował jednocześnie odnaleźć jakieś punkty oparcia. Z późniejszych nieco wynurzeń wynika, iż pisanie wierszy traktował całkiem serio, bez mała jako wstęp do zawodu literackiego. A sposobił się do niego wedle trybu przyjętego w rzemiośle. Jak na kucharzostę i chłopcę, czekającego wyzwolić na czele krawieckiego, był to pogląd słuszny, świadczący o rozeznanym i potrzebie terminowania. Porównanie to narzuca się i z tego powodu, że początki wierszopisania Reymonta przypadają na lata warszawskie (1881–1884), spędzone, jak wiadomo w warsztacie krawiecko-kuśnierskim p. Konstantego Jakimowicza, męża starszej siostry Katarzyny².

Jeden z pierwszych wierszy, oznaczony datą dzienną (1 października 1882), noszący tytuł „Sielanka”, zaczynał się tak:

„Strumyk szemrze cicho
Wśród krzewów zielonych,
A za nim ktoś wzdycha
Do dni minionych —
Dumając nie słyszy,
Ze zza gęstej krzewiny.
Wymarzona twarz dyszy
I pierś ładnej dziewczyny”...

Akcja, zgodnie z regułami tego gatunku, kończyła się pomyślnie: kochanek poczuł jej usta „zawisnięte na ustach” i „zaczął czerpać hausta”; rym, zauważmy, bardzo wymyślny. Miłość, najpierw w ujęciach

sielankowych, później melodramatycznych, do czego miał zawsze wielką skłonność, zjawia się już obecnie w kontekstach szerszych, quasi-filozoficznych, jako jedna z piękniejszych możliwości istnienia. To „filozofowanie” sprowadza się do igrania takimi pojęciami, jak śmierć, życie, tradycja, przy czym tradycję pojmując całkiem rozsądnie, jako ciąg wartości trwałych i samostojących. W wierszu pt. „Byłoby zbyt ciężko” (1882) pisze:

„Znów twierdzić konieczne,
Że kiedyś po latach,
Po królach, magnatach,
Nie będzie tradycji.

Tradycja zostanie, lecz wszystkich nie
będzie
Tych, co ich teraz w pierwszym stawim
rzędzie”.

W wierszach z tych lat musiały znaleźć swój wyraz doświadczenia najbliższe: przeżycia z warsztatu. Są to strofy równie chropawe, jak poprzednie, nieporadność wyśłowienia piętnastolatka ma smak ciężkiej roboty, harówki na zydłu, pod surowym okiem majstra. Krawiectwo, „wymyślone” przez rodziców w celu stabilizacji niestworzonego latawca i nieuka, klęciło się wyrażanie z jego aspiracjami, z marzeniami, w rezultacie odbywanie terminu gwałcił wprost nadwrażliwość chłopaka, zaprzęgniętego zgola wznioślejszymi sprawami. „Krawcem chciałbym zostać” — tak oto zatytułował swój lament. Spowiadał się, drwiąc, buntując się, może i poplakując:

„Krawiectwo jest dobre, chciałbym
krawcem zostać —
Nie chcę, nie zostanę!

Bo majster kochany za bardzo chce
chłostać

A przecież mam mamę.
Ta widząc, jak jestem od majstra obity,
Zaczyna perswazję, ot zwyczaj kobity.
I gdera na mnie, na majstra narzekać.
A z odebraniem z terminu mnie zwlekać.
I mówi ciągle, że wieś mi nie służy,
Ażebym w terminie mógł być jak
najdłużej.
Mnie być w terminie? Nie mnie
krawiectwo w głowie.
Mnie, co ma dusza klasyczna w połowie,
Oni by mnie krawczykiem może nazwać
chcieli.
Mnie? Czy ci ludzie znów nie zidjocieli?”
(1882)

Toteż kto wie, czy ta „klasyczna dusza”
(w 50 proc.) nie podlegała towarzyszy przy
gle do sabotowania pracy w warsztacie
i podważania surowej dyscypliny:

„Majster tyka sobie w domu
Piwo, wódkę, poncz, herbatę,
A chłopaki po kryjomu
Przyprawiają, by miał strata.
Ten mniej sztychów robi parę,
Tamten znów z rozkoszą
Puszcza w szybę ust swych parę.
Trzeci wreszcie za kokosza,
Co się w rondlu majstra piecze,
Wzrok wyteża, okiem mruga...
Czwarty wreszcie pod kominem,
A z zuroczeniem ku drzewom okiem
Opala się lubo dymem... (Z warsztatu,
grudzień, 1882)

Dalszy ciąg na str. 3



Spaliliśmy już stare kalendarze i z pewnym niepokojem patrzymy na nie zapisane jeszcze kartki nowego. Co przyniesie nam 1968 rok w polityce międzynarodowej? W tej dziedzinie — jak pisałem niejednokrotnie — najtrudniej prognozować. Miniony rok, z nieoczekiwanym u. jego prognozy, znaczącym pogorszeniem sytuacji z powodu agresji Izraela na kraje arabskie — utwierdził jednak przekonanie o rozsądku w dramatycznych okolicznościach, dzięki któremu udało się uniknąć globalnego konfliktu. I na tym zasadzie się optywizm, któremu w próbie bilansu starego i prognozie na nowy rok dałem wyraz w poprzednim komentarzu. Dzisiaj spojrzmy, z czym wkroczyliśmy w przestępny rok 1968?

W WİETNAMIE po krótkotrwałym zawieszeniu broni szybciej niż można było sądzić powrócił stan wojny. Towarzysząc temu dementowane uprzednio, ale powracające z tym większą siłą, pogłoski o zamiarze Waszyngtonu rozszerzenia działań na Kambodżę i Laos. W doniesieniach niektórych agencji — jak zauważył „Frankfurter Allgemeine Zeitung” — coraz częściej mówi się nie o Wietnamie, lecz Indochinach. Wszystko to wydaje się wskazywać, że Pentagon wywiera nacisk na Biały Dom, aby sankcjonować tzw. „prawo pościgu”, czyli — inaczej mówiąc — interweniować zbrojnie także poza granicami Wietnamu.

Rozpowszechniana głównie przez prasę włoską wiadomość jakoby po rozmowach z prezydentem Johnem F. Kennedym, że wyrażał on możliwość wystąpienia specjalnej misji do DRW — oficjalnie w sprawie jeńców wojennych, nieoficjalnie dla wstępnych kontaktów ewentualnie przygotowujących rokowania — w tej sytuacji wydaje się nieprawdopodobna i nie zwróciła uwagi komentatorów.

Na BLISKIM WSCHODZIE najważniejszym wydarzeniem pierwszych dni nowego roku będzie z pewnością arabska konferencja na szczycie w Rabacie.

Wcześniej premier Izraela Eshkol spotkał się ma Waszyngtonie z Johnsonem. Przypieszenie tej wizyty na 7-8 stycznia nie jest podobno związane z bliskowschodnią sytuacją, ponieważ — jak pisze prasa amerykańska — Stany Zjednoczone i tak nie mają żadnego planu pokojowego.

Warszawskie rozmowy ministrów spraw zagranicznych krajów socjalistycznych raz jeszcze wykazały, jaki to powinen być ten plan. Podstawę rozwiązania kryzysu data także rezolucja Rady Bezpieczeństwa. Dopóki jednak Izraela okupacja terenów arabskich, można oczekiwać różnych ujemnych implikacji politycznych.

(Izraelskie Biuro Statystyczne podało przed kilku dniami, że na zagarniętych terenach znajduje się obecnie ponad 1 mln Arabów, a w granicach Izraela — ok. 300 tys.).

W NIEMCZACH ZACHODNIICH przełom lat 1967/68 mija pod znakiem prób bilansowania, tzw. nowej polityki wschodniej. Nawet bożyscy optymiści — np. członek Bundestagu z ramienia CDU, Kurt Birrenbach — zmuszeni są przyznać, że polityka ta rozwijała się, jak się widać, nie do przodu, a w tył. W chwili obecnej dla NRF droga na Wschód jest zamknięta. Dlaczego — wyjaśnia na łamach francuskiego tygodnika „Entreprise” — Kurt Schloer w następujących słowach: „Żadna polityka, otwierająca na Wschód” nie może odnieść sukcesu, jeśli nie będzie jej towarzyszyć uznanie NRD...”

A o tym Bonn ani myśli, z uporem maniaka przy lada okazji powracając do sprawy wyłącznie reprezentacji Niemiec. A więc impas, żeby nie powiedzieć kryzys, proklamowanej przed rokiem nowej polityki. Taka jest prawda, choć nie chcą się do niej przynajmniej Klesinger i Brandt.

W GRECJI, w której w minionym roku doszło do władzy wyrażonej faszyzująca junta wojskowa, Sylwester mijał w atmosferze napięcia politycznego i nie kończącej się debat, czy król Konstantyn powróci do kraju, czy też nie. Jeszcze 10 dni, tydzień temu sądzono, że powrót jest prawie pewny, teraz, po utworzeniu przez nowy rząd, ateński urząd wicekróla, wydaje się problematyczny. Junta wojskowa z pewnością zależy na tym powrocie z uwagi na międzynarodową opinię publiczną — nie jednak to nie zmieni sytuacji Grecji. Od kwietnia ub. roku jest ona na niebezpiecznej pochylni. Tym niebezpieczniejszej, że jak powracająca jala raz po raz odzyskuje się sprawa Cypru.

Ala właśnie cypryjski konflikt, w którym ścierającymi się stronami — przynajmniej bezpośrednio — są dwa sojusznice kraje Stanów Zjednoczonych, należące do NATO, Grecja i Turcja — wykazuje, ile to już odśrodkowych sił działa w PAKCIE ATLANTYCKIM.

W jego strukturze wojskowej od kwietnia 1967 nie bierze udziału Francja, która też w grudniu nie była reprezentowana na brukselskiej sesji Rady.

Walka dwóch europejskich tendencji: odprężeniowej i zimnowojennej znajduje swe odbicie i w atlantyckim bloku, choć nie przeszkadza to, by był on silną napędową wyspą zbrojeń, łącząc z utworzeniem wielostronnych atlantyckich sił morskich, w których oczywiście zarezerwowano miejsce dla floty zachodniemieckiej.

Pewien postęp, jaki przyniósł 1967 rok w rozmowach na temat kluczowego problemu rozbrojenia — nierozpowszechniania broni nuklearnej, nie hamuje zgubnego wysiłku, z którego — rzecz oczywista — najbardziej są radzi militarni bożyscy.

Nagromadziło się więc tych zagadnień międzynarodowych co niemiara. Stają one wszystkie przed nowym rokiem...

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

Po zakończeniu 24-godzinnego rozejmu światowego dowództwo sił zbrojnych USA wydało rozkaz wojskom w Wietnamie Południowym, aby wznowiły działania przeciwko siłom wyzwoleniowym. Agresorzy amerykańscy wznowili również bombardowania Demokratycznej Republiki Wietnamu.

Libańska prasa podaje, że Sekretarz Generalny KPZR Leonid Breżniew po zakończeniu swego pobytu w Kairze złożył wizytę w Damaszku, a być może uda się również do Bagdadu.

Znany francuski publicysta i działacz polityczny J. Debu-Bridel wypowiedział się za uznaniem NRD przez rząd francuski. W artykule opublikowanym na łamach tygodnika lewicowych gaulistów Debu-Bridel pisze: „To, co istnieje i nikt nie może tego kwestionować, to państwo decydujące o losach 17 milio-

dziennym konieczność unowocześnienia gospodarki hotelarskiej, a przede wszystkim wykształcenia odpowiedniego personelu. Obecnie zorganizowano kształcenie specjalistów w tym zakresie. W programach nauczania uwzględniono doświadczenia innych krajów i wprowadzono do tworzonego „hotel-techników” takie przedmioty jak: zasady i technika obsługi w hotelu oraz kultura pracy, urządzenie hoteli, umebliowanie hoteli i estetyka wnętrza itp.

Źródła bożyskie podają, że po raz pierwszy w historii stosunków handlowych NRP z krajami socjalistycznymi Związek Radziecki utracił prymat największego importera artykułów z NRP. Człowiek miejsce zajmuje obecnie Jugosławia, za nią zaś w kolejności: Rumunia, Chiny i Związek Radziecki.

Londyński „Times” w artykule pt. „Izrael zbroi się



Kto następny?

nów niemieckich obywateli. Państwo to zajmuje już miejsce wśród 10 największych krajów przemysłowych świata”.

Egipt otrzymał w pierwszym roku 883 tys. ton pszenicy z krajów socjalistycznych. 350 tys. ton dostarczył ZSRR, 230 tys. — Rumunia, 150 tys. ton — Chiny, 80 tys. ton — NRD, 70 tys. ton — Bułgaria i 3 tys. ton — Jugosławia.

Agencja jugosłowiańska Tanjug pisze, że w wyniku zamieszek, walk, konfliktów, jakie przeżywa Afryka, problem uchodźców przybiera coraz większe rozmiary. Obecnie 1 na 400 Afrykańczyków jest uchodźcą.

Milton Eisenhower — brat byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, mianowany ostatnio ambasadorem USA do specjalnych poruczeń w krajach Ameryki Łacińskiej, oświadczył w wywiadzie, że ludność krajów Ameryki Południowej „znajduje się w przededniu rewolucji i rozumie ona obecnie, że poniżenie człowieka nie jest pojęciem ogólnym, ani nieuchronnym”.

W Tel Awiwie ogłoszono oficjalnie, że Francja nie weźmie udziału w międzynarodowych targach organizowanych w tym mieście latem 1968 roku.

Szybki rozwój turystyki w ZSRR stawia na porządku

na Kanale” pisze: „Rząd egipski i obserwatorzy zagraniczni w Kairze niepokoją się nagłym wzrostem koncentracji izraelskich sił powietrznych i lądowych na wschodnim brzegu Kanalu Sueskiego. Trwają tam wyraźne ruchy sił pancernych, a pola startowe dla samolotów zbudowano w odległości zaledwie paru setek jardów od brzegu Kanalu”.

Przeprowadzone w kilka tygodni po dewaluacji funta szterlinga badania Instytutu Gallupa wykazały, że konserwatyści uzyskali wśród brytyjskiej opinii publicznej rekordową przewagę 17,5 proc. nad Labour Party oraz, że Wilson stał się najmniej popularnym premierem brytyjskim od chwili zakończenia drugiej wojny światowej.

Czołowy publicysta kairski — Heykal komentując stanowisko USA wobec konfliktu bliskowschodniego pisze: „Ameryka wykazuje obecnie tendencje wojownicze i pragnie za pośrednictwem Izraela podporządkować świat arabski swojej dominacji. Nie jesteśmy zdolni do starcia frontального ze Stanami Zjednoczonymi, powinniśmy zatem kontynuować walkę bez konfrontacji bezpośredniej i iść za przykładem Chin komunistycznych, które dzięki swej cierpliwości nie pozwoliły,

pomimo wielu prowokacji, na walkę twardą w twarz”.

Francuski minister spraw zagranicznych Couve de Murville o kandydaturze Wielkiej Brytanii do EWG: „Z naszej strony twierdzimy, że powinniśmy być poważni, że trzeba rozpatrywać problemy takimi, jakimi są w rzeczywistości, że Wielka Brytania nie jest obecnie w stanie, który by jej pozwalał na przystąpienie do wspólnego rynku”.

Radziecki dziennik „Trud” o sytuacji w Chinach: „Idea Mao Tse-tunga są sprzeczne z podstawowymi interesami mas pracujących. I mimo, że w Chinach wiele czyniono wysiłku, aby udowodnić, że polityka „wielkiego skoku” i „komun ludowych” jest triumfem idei Mao, to nie da się ukryć, że przyniosła ona narodowi chińskiemu tylko klęski i cierpienia”.

Ambasador hiszpański w Waszyngtonie oświadczył na konferencji prasowej, że jego kraj nie będzie współpracował z NATO, dopóki Gibraltar nie zostanie przywrócony Hiszpanii. Ambasador podkreślił, że Wielka Brytania zdobyła Gibraltar podstępem i że nie chodzi tu o oddanie Gibraltaru „Hiszpanii generała Franco”, ale wszystkim Hiszpanom, którzy niezależnie od ich zapamiętanych politycznych domaga się przyłączenia go do Hiszpanii.

Jeden z dyplomatów akredytowanych przy ONZ podał taką ocenę ostatniej sesji tej organizacji: Sesja — powiedział on — przypomina kolację startującą w jednym wysiłku z motocyklistami. Motocykliści, to wydarzenia międzynarodowe, rozgrywające się poza ONZ. Nikt się nie spodziewa, żeby rowerzysta mógł wygrać ten wysiłek. Można się jednak spodziewać, że z honorem dojedzie do mety”.

W Pekinie zakończył się pierwszy kongres aktywistów marynarki wojennej studiujących dzieła Mao. Kongres trwał ponad 20 dni i wzięło w nim udział ponad 4 tys. delegatów. Studia i dyskusje nad dziełami Mao Tse-tunga, pisał „Sinhua” przyczyniły się do podniesienia na jeszcze wyższym poziomie, rewolucyjnej linii reprezentowanej przez Mao.

Dwaj członkowie amerykańskiej izby reprezentantów wystosowali list do sekretarza stanu — Ruska, zwracając uwagę na niewywiązanie się władz sągłoskich z obietnic na temat reformy rolniej. W liście podaje się, że siły wyzwolenicze w analogicznym okresie czasu rozdzieliły pięciokrotnie większy obszar zi-

mi zarekwirowany u obszar-ników.

Minister spraw wewnętrznych ZRA oświadczył, że w obozach internowania w ZRA przebywa obecnie około dwóch tysięcy osób. Prezydent Nasser — powiedział minister — polecił mi likwidację tych obozów.

Na łamach dziennika „Prawda” ukazał się artykuł pt. „Handel zbliża narody”. Autor artykułu polemizuje z tezą, w myśl której handel ZSRR z krajami Ameryki Łacińskiej stanowi poparcie dla reakcyjnych i oligarchicznych reżimów w pewnych państwach tego kontynentu. Autor wykazuje, że zacieśnianie stosunków ekonomicznych z ZSRR pomaga tym krajom w uniciecznieniu się od imperializmu USA.

W związku z deklaracją gen. Mosze Dayana na kongresie jego partii Rafi w sprawie obalenia premiera Eshkola, Agencja AP donosi z Tel Awiwu: „Szane Mosze Dayana na zostanie premierem wyraźnie wzrosło, zaś polityczna przyszłość Eshkola budzi wątpliwość. Agencja zapowiada, że walka o stanowisko premiera izraelskiego rozpoczęła się”.

Szanghajską gazetą „Wen-haipao” pisze, że wielki ruch krytyki przeciwko chińskiemu Chruszczowowi i jego sojusznikom, jak również przeciwko egolizmowi i rewizjonizmowi zrodzony w okresie rewolucji kulturalnej, kontynuowany jest obecnie w tonie rodzin chińskich Kiedy, podczas spotkań rodzinnych — pisze pismo — trącono czas na bezowocne gadanie. Teraz jednak wszystko się zmieniło... Dyskutuje się o rewolucji kulturalnej i o sprawach politycznych. Rozmowy takie toczą się między rodzicami i dziećmi, między braćmi i siostrami, między dziesięcioletnimi dziećmi a także między starymi kobietami... Trzeba więc teraz — konkluduje dziennik — przekształcić rodzinę w grupę studiów i stosowania myśli Mao. W każdym domu rodzinnym należy wywiesić portret Mao Tse-tunga, każda rodzina powinna mieć więcej czytać jego książek i cytować jego myśli...”

W Wielkiej Brytanii trwa zakrojona na szeroką skalę akcja zbiórki pieniężnej wśród przemysłowców brytyjskich pochodzenia żydowskiego. Zbiórka zainicjowana została wskutek wizyty delegacji izraelskiej z ministrem finansów na czele. Podobna akcja przyniosła w roku ubiegłym 3 miliony funtów. Obecnie Izrael apeluje o zebranie 10 milionów funtów.



(Die Welt)

LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

Setnie się ubawilem czytając artykuł p. M. Kornatowskiej o VI Ogólnopolskim Konkursie Piosenkarzy Studenckich w Krakowie. Nie tyle kontrowersyjnymi wątkami, które dotyczyły imprezy, a którą miałem możliwość poznać od strony kulis, ile ostatnimi zdaniem artykułu,

Otóż autorka przedstawia nam kilka wybranych tekstów grafo-mańskich, które reprezentowała na tej imprezie, nie bytoby to, iż wśród nich znalazł się tekst, który napisał „Aswagosz” pt. „Wszystko kończy się rozłąką”. Oto panem „Aswagosz” okazuje się być — nie pseudonimem zasłaniający się po czatujący literat — ale starohinduski filozof i poeta z przełomu III wieku n.e. Tenże „Grafoman” napisał „Buddha-czarite” — epos z życia Buddy, którego fragmentem okazuje się „Wszystko kończy się rozłąką”. Fragment wydrukowany w „Odgłosach”.

Bliższych informacji na temat wyżej wspomnianego „studenta-grafomana” udzieliła Mała Encyklopedia PWN str. 49 oraz wydane niedawno przez Ossolineum — bardzo ładnie zresztą — utwory Aswaghosy; wśród których widnieje „Buddha-czarita” w tłumaczeniu A. Gawrońskiego (o ile dobrze pamiętam). Na marginesie — chętnie po-

dyskutowałbym z autorką na temat jej oceny konkursu, jak i piosenki studenckiej w Łodzi i gdzie indziej, tak rzadko gość czający na łamach „Odgłosów”, tak jak i problemy studenckie miasta.

O czym z żalem komunikuje Wasz

Student-Obszwarator

Czuje się prawdziwie usatysfakcjonowana faktem, iż „Student-obszwarator” ubawił się setnie czytając mój artykuł, bowiem zadaniem felietonisty jest uczyć — bawić. Dostarczanie ciekawych rozrywkowych czytelnicom stanowi nasz główny obowiązek, tym bardziej że i czytelnicy dbają o nas w miarę swych możliwości. Teksty publikowane w „Odgłosach”, nie są na szczęście, tylko dziełem studentów. Grafomani są wszędzie. Figurują także w encyklopediach. Podej-

rzewam, że nawet poeci staro-hinduscy mogli być w swoim czasie grafomanami. Wiele dawnych utworów przetrwało do naszych czasów na zasadzie przypadku, a nie ich autentycznej wartości, o czym świadczy, niestety, historia niejednej literatury. Argumentacja właściwa. Nie neguję zresztą wcale faktu, iż uroczu spolszczonej Aswaghosy może być znakomitym poetą. Miał natomiast pecha do tłumacza. Nawet Szekspir tłumaczony przez grafomana — będzie grafomański (mamy i na to przykłady).

Wypada jedynie żałować, że nie sprawdziłam przedtem, kto tłumaczył (jak sadzę też nie z oryginału) utwor „Aswagosa”. Ze „Studentem-obszwaratorem” chętnie sobie podyskutuję (to ulubione ostatnio zajęcie wszystkich Polaków) o ile, oczywiście, ujawni swe obojętne, bo tak, jedynie kobieca intuicja porwała mi odgadnąć, kto to być może.

Z niepewnością

M. KORNAŁOWSKA

Poeta Reymont

Dalszy ciąg ze str. 1

Obraz niedoli się rozszerza, zagęszcza, gdy dodać gorzkie rymy o kusym żakcie, o zimnie panującym w izbie, o braku pieniędzy („Gdy zimno wam“), czy też o drażniącym podniebieniu smaku pieczonej gęsi, przywiezionej z guberni piotrkowskiej (z Tuszyna?) z okazji św. Marcina; nierówności w stosunkach między majstrem a uczniem i w zakresie konsumpcji dyktuje mu takie oto buntownicze wersy:

„Wara mi od gęsi, nie na to pieczona,
Aby była przez ciebie jedzona”...

Pewnie upomniał się o jakiś lepszy kasek, skoro w odpowiedzi usłyszał:

„I długo mi jeszcze prawić, że on w swoim
warsztacie

Jest jak „Imperator”,
A jego poddańcy sługą
Każdy „Terminator”.
O głupi majstrze, jakżeś oślepiłony
Swoją wielką władzą, a wina to żony,
Która jak tylko dzień robi się długi
Na chłopaków skargi posyła przez sługi”.
(W święty Marcin, 1882).

Utyskiwania na podłą kondycję nie wyczerpują wszelkie tematyki wierszy. Biorąc pod uwagę ilość utworów z pierwszych dwóch lat poetyzowania (1882–1883), spraw osobisto-zawodowych nie podejmuje zbyt często. Co może znaczyć, iż nie rozkładał się za bardzo nad sobą, znosząc po męsku decyzję rodzicielską. Miał oświadczyć swej kuzynce, późniejszej pani Sikorskiej, jeszcze u progu terminacji, więc gdzieś w r. 1881, że nie zostanie w tym zawodzie, ale termin odbędzie, aby nie sprzeciwić się woli ojca. Piękny gest, w każdym bądź razie świadczy najlepiej o charakterze. Zresztą czy warto było z krawiectwa czynić przedmiot poetyckich westchnień? Ze serdeczną doń czuł niechęć, dowodem na to nieprzynajmniej się do tej umiejętności. A przynajmniej się do wielu uprawianych zajęć, nie tał np. że grał w teatrze, lecz nie chwalił się nigdy posiadaniem dyplomu krawieckiego. Nawet w czasie dokuczliwej biedy, m. in. w Krosnowie w 1891 r., nie zdradził się z tym, co więcej, kazał szyć sobie ubranie, a mógł przecież zarabiać z takiej profesji wcale dobre zyski. Jedno może być wyjaśnienie: nie chciał po prostu wzbogacać swej biografii „wstydliwym”, i to nie tylko w jego mniemaniu, faktem.

Stąd też ta tematyka stanowi jedynie margines wierszopisarskich zatrudnień: znakiem większości owych utworów odzwierciedla złość inne zainteresowania i upodobania. Przeszcząją one w jakimś stopniu i atmosferę, w jakiej wzrastał, atmosferę domu rodzinnego, zapewne i jego warszawskiego otoczenia.

Cytuje się wprost przykładową rzeczowość Reymonta, uczulenie na konkret, na świat zjawisk zewnętrznych, spoglądanie fenomenalnym darem pamięci wstokowej; te właściwości talentu rejestruje wyraziście proza. Ale i w wierszach można spostrzec krystalizowanie się tych właśnie cech osobowości twórczej. Młody Rejment jest chłonny, otwarty na wszystko, mozołnie zdobywaną wiedzę, nawet zasłyszane gdzieś, czy wyczytane wiadomości, wykorzystuje natychmiast; ozdabia swe wiersze mitolo-

gicznymi imionami, nie obcy są mu bohaterzy szekspirowskich tragedii, zapożycza się u romantycznych poetów, naśladuje i kopiuje.

Jest nade wszystko pryncypialny, każde zagadnienie traktuje z powagą, z pewnym namiętnością, i nieodmiennie wyklada z pozycji obywatelskiej, patriotycznej, nie szczędząc moralizatorskich pouczeń czy patetycznych wyznań. Być może, że był to wpływ poezji pozytywistycznej, a i płon wychowania domowego. Niekiedy tytuł wiersza nie zapowiada wcale jego treści. Np. w „Jesieni” (1882) nie ma opisów spadających liści, żadnego nastroju melancholii, smutku, czego można by oczekiwać. Pojawia się natomiast apel do rolnika, aby zwiózł na czas zbioru do stodoły, przygotował się starannie do zimy, opatrzył stał się i oborę. Morał do tych gospodarskich stró jest dość nieoczekiwany:

„Rolniku, nie paraj(?) się próżno
z wrogiem,

Lecz sochę ujmij w swą twardą dłoń.
I zórz te łany, co leżą odłogiem,
Ty rzucił ziarno w ich łon —
Rolniku, nie uważ(!) słów moich czczą
marą,

Bo mów ci syn,
Co kocha tę ziemię ojczystą, prastarą,
Bo mów ci Polski prawowity syn”.

Ten motyw upartej woli życia na przekór wszystkim okolicznościom i powinności, ciężkiego na każdym człowieku obowiązku, tu ledwie naskakowany, powtórzony w dojrzałej, przejmującej postaci np. w „Orce”, pokazując śmiertelność sięjącego Michała Kosiola, chłopca, który ma poczucie konieczności spełniania swego zadania w każdej sytuacji.

Ze źródeł patriotycznych pochodzą niewątpliwie akcenty narodowe w wierszopisowności „Do Wisły” (dwie wersje z 1882 r.), wystrzone mocnym antyniemieckim dystychem:

„Po cóż pozwalasz, by chyż statki
Wozili Niemcom polskie dostatki”.

Pod ciśnieniem podobnych emocji narodził się pewnie wiersz-apoteoza „Do Mickiewicza” oraz „Rok 1883” (oba z 1883); w tym ostatnim pragnął utrwalić pamięć krwi przełanej „w obronie naszej ojczyzny” i pamięć o tych, co cierpią „w głębi Syberii”. Jest i wiersz pochwalny na cześć cywilizacji wieku pary i elektryczności, co uznaje za „zysk stuleci”. Gdzieś ok. roku 1884 tematyka patriotyczna i uniwersalistyczna (motywy braterstwa z wszystkimi ludźmi) stopniowo zanika, coraz żywiej zajmują Reymonta miłosne sprawy, tarapaty i radości czułego serca. Z licznych inicjałów, przewijających się w tytułach, łatwo się domyślić, iż niejedną Laurę dręczyła namiętność Filona. Jeszcze w 1889 r. deklamował z emfazą:

„Kiedy umrę to powiecie,
Wiatrom, drzewom, niebu, ziemi,
Ze szukałem tu na świecie
Ludzi z sercem, nie z kamieniem.

Ze szukałem idealu
Między kobiet, dzieciną gronem
I za chwilę taką szalę
Placę życiem uciernionem”.

Miłość deklaruje we wszystkich sentymentalnych i płaczliwych przypadkach, przybiera pozę tragiczną, to znów smętno-lyryczną, używa do tych wynurzeń form kunsztownych, wyszukanych, takich jak list, oda, poemat, sonet, często niezgodnych z regułami gatunku; jest nieustraszony w zapisywaniu papieru. Powstaje pytanie, czy rzeczy te wysyła, skoro tak wiele zachowało się w rękopisach, nie jest wykluczone, że porzucił sobie tylko bruliony, intymne ślady swych strzelistych afekcji. Oto kilka próbek z różnych lat:

„Umarłbym spokojnie, by przed swym
zgonem
Słyszeć twoje słowo tym serdecznym
tonem”...

Arto:

„Pani, gdy list ten twojej dojdzie ręki,
To pomyśl naprzód, kto mógł go
napisać”...

Czy:

„Czym mogę wyrazić stan duszy
cierpiącej,
Czym boleść ukoić”...

To środkowe miłosne przesłanie do nieznanej Pani, liczy kilkadziesiąt wierszy, pisał je w ciągu kilku miesięcy 1884 roku. Wyzwolony tego roku (8 stycznia) na czeladnika i wpisany następnie do „Księgi Zgromadzenia Czeladzi Krawieckiej”, co by znaczyło, że myślał zrazu o krótkotrwałej praktyce, ale w końcu bez stałego zajęcia, bezrobotny, za to z głową nabita karierą artystyczną (literacką, aktorską). Reymont w tym czasie coraz dotkliwiej odczuwa ciężar życia, trudność znalezienia odpowiedniego miejsca w społeczeństwie. Dawniejsze doznania, doświadczenia, choćby istotnie przykre, muszą się wydawać blache, naiwno-dziecięce w porównaniu z obecnymi, gdy trzeba dokonać wiążącego wyboru. Otóż takie przeżycia nasycają z kolei wiersze z tych lat, znacznie dojrzałe, pisane z pasją, żarliwie, gorzkie, wyzywające.

„Co treścią życia, pytam was, co w pocie
Czoła pracując, by nie umrzeć z głodu,
Na tych, co chodzą w jedwabkach
i w złocie,
Podłych w starości, a cyników z młodu...
I niech będzie na wieki kasta potępiona,
Co tuczy się waszą pracą i poi się łzami.
Co treścią życia, pytam was, Bogacze,
Panów światła, Mocarzy w purpurze,
Dla których taki człowiek jak ja, tyle
znaczy.
Co ples wasze ślady liżący w marmurze...
Drżycie, bo się chwilią wasze złote
trony,
Gnębieni długo, nie wstrzymamy dłużej!”
(„Co treścią życia?”, 26 maja 1884)

W tej samej tonacji utrzymany jest wiersz pt. „Aktory”, pisany 10 kwietnia 1886 roku w Przasnyszu, prawdopodobnie w czasie wędrowki z trupa aktorskiej, skomponowanej na motyw „Śmieci się, pajacu”, pełen jakby już modernistycznej pogardy wobec tłumy, publiczności, nie doceniającej sztuki i jej twórców. W Olkusz, chyba również

na etapie aktorskim, pisał: „Nie miejsce
złudzeń, jest jedno piękno na świecie —
złoto, jedna walka moczary jak i niewol-
ników, walka o byt... nie miejsce złudzeń,
wilk głodny nie pyta, do kogo owca należy”
(15 września 1887). Dwa tygodnie wcześniej
(30 sierpnia), w Wolbórze, zastanawiał się
nad swą przyszłością:

„Daleka droga, daleka do celu,
A sił tak mało, jak chęci wytrwania.
I myśl ta trapi, że skończy jak wielu
Przez własne ja, na progu wytrwania”.

Kiedy się czyta wczesną nowelistykę Reymonta, takie utwory jak „Pracy”, „Suka”, pochodzące z tychże lat, doszrzedzamy w nich identyczne elementy szamotania się, niepokojenia z rzeczywistością, protestu. Demaskuje i oskarża. Z biegiem lat wyciszy się, a nawet zniknie ten ton. A jednocześnie kielkuje w nim przeświadczenie, że poeta nie będzie, że Słowackiego nie doścignie. Aż wreszcie w wieńczącym sylwestrowy 1891 roku, mieszkając wówczas w Krosnowie, uczynił rzetelny obrachunek ze swą poezją: „Przeczytałem kilka z tych rupiec bezwartościowych — rozrzewniły mnie — i przekonałem się prawie, że ze mnie w tym kierunku nie może nie być”.

Pisał jeszcze później wiersze, tak jak pisał do końca życia dramaty, ale w gruncie rzeczy z poezją się rozstał. Bardzo słusznie postąpił.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Przypisy

- 1) Cytowane wiersze pochodzą z rękopisów Ossolińskich nr nr 6351/1 i 6352/11, poprawiono błędy ortograficzne i interpunkcyjne.
- 2) Szczegółowy biogram z tego okresu podają: A. Grzymała-Siedlecki, Fantastyka żywota Reymonta w: „Niepospolite ludzkie w dniu swoim powszednim”, Kraków 1961, s. 258–261; T. Kurza, Genialny pisarz — jako czeladnik krawiecki... Przyjaciel Rzemieślnika 1948, nr 11, s. 3 (daty odbywania terminu trzeba przesuwać o dziesięć lat wcześniej); J. Lorentowicz, Frak Reymonta, przypisy i objaśnienia do szkicu Reymonta w Paryżu w: Spożycie wstecz, Kraków 1957, s. 223–225; E. Szermentowski, Frak Reymonta. Problemy 1954, nr 7, s. 489–488.
- 3) E. Szermentowski, Frak Reymonta, czy tylko guzik Reymonta? Problemy 1955, nr 12, s. 862.
- 4) Fakt ten ujawnił Witold Kotowski, kuzyn pisarza, por. E. Szermentowski, jw.



Nożycami przez PRASĘ

NASZE SERCA

Jeśli jesteś mężczyzną i lubisz dobrze i dużo jeść, jeśli mieszkaś w mieście i rodzaj pracy zmusza Cię do siedzącego trybu życia, a Twoja praca jest nerwową i wymaga wysiłku umysłowego, jeśli jesteś człowiekiem, który nadmiernie przeżywa się kłopotami, do tego mas może podnieść ciśnienie krwi i pałaz dziennie paczkę papierosów: Uważaj — jeśli nie masz czterdziestki, jesteś doskonałym kandydatem na zawał serca. Jeśli poza Tobą jest już 40 lat, istnieje 50 procent szans na to, że choroba serca lub układu krążenia skróci Twoje życie.

To motto szkicu Macieja Ilowieckiego, jaki przyniosła „Polityka” pt. „Historia o sercu”.

W krajach wysoko uprzemysłowionych przyczyna prawie połowy zgonów są choroby serca i naczyń, układu krążenia. Drugie miejsce zajmuje rak. Na trzecim znajdują się nieszczęśliwe wypadki. Aczkolwiek polskie proporcje przyczyn odbiegają od tego schematu — jednak co

czwarty obywatel naszego kraju umiera na serce.

Rozwój cywilizacji — z poprawką na lekceważenie lub nie docenianie wielu spraw zasadniczych — zmusza do życia w szkodliwych dla zdrowia warunkach. Różne są przyczyny zawałów. Np. niewłaściwa dieta, cholesterol nie tylko w tłuszczach zwierzęcych, ale i w margarynie. Największy nacisk autor kładzie na nerwy. Skąd się przeważnie biora „nerw”? Mieszkanie w miastach, środowiska zawodowe czyli miejsca pracy, gdzie nie zawsze siebie szanujemy w bliznich i bliznich w sobie.

Ulega tym chorobom również coraz więcej kobiet.

Artykuł kończy się uwagami na temat historycznego w medycynie wydarzenia przeszczepienia serca 24-letniej Denise, która uległa wypadkowi, Washkańskiemu. Jak się to zakończyło, niestety już wiemy. Przy okazji powstaje problem, kiedy można uznać człowieka za zmarłego, by skorzystać z jego narządów? Bierz się pod uwagę

STRUG

On był z tych, co uczyli

czynem
w człowieku poznawać brata,
bojownikiem, republikaninem
wolnej ojczyzny świata.

Tak pisał przed trzydziestu laty Władysław Broniewski w poemacie „Na śmierć Andrzeja Struga”. Pamiętam jak z jednym z kolegów wileńskich żałowaliśmy, iż odszedł jeden z autorów takich niezapomnianych, ale zdobytych własną postawą i działalnością. Im więcej ma społeczeństwo takich autorów, tym lepiej się czuje.

Ukazało się kilka artykułów rocznicowych, m. in. we „Współczesności” piora Jana Detko. Pod obiecującym tytułem: „Miejsce Andrzeja Struga”.

Detko stwierdza:

Ten obsesyjnie polski pisarz, twórca, którego uważa nie uszły ważne wydarzenia jego epoki, bystry obserwator życia narodowego, nie pomijał również spraw natury ogólniejszej,

nie ustanie akcji serca, ale śmierć komórek mózgowych, co wykazuje encefalogram. Według najnowszych ustaleń francuskiej Akademii Medycznej (jest to instytucja pełniąca dla medycyny we Francji podobną rolę, jak u nas wobec wszystkich dyscyplin pełni Akademia Nauk), człowiek może być uznany za zmarłego dopiero wówczas, gdy dwie krzywe jego encefalogramu, robione w odstępie 48 godzin, są płaskie.

Artykuł ten trochę zawodził. Szkoda bowiem, że nikt nie spróbował przebadać, jak aktualnie wygląda percepcja dzieł Andrzeja Struga-Gateckiego. Oba wiem się, że nie najlepiej. Wybrałem się do niego. Po wojnie właściwie z wielkim zadowoleniem przeczytałem, i to aż dwukrotnie, tylko maleńką księżkę dla młodzieży „Odnakę za wierną służbę”.

NIENASYCENIE

Nie, to nie o powieści St. I. Witkiewicza pod takim tytułem, Ludwik Erhardt w świątecznej „Kulturze” zastanawia się nad upowszechnieniem muzyki czyli nad płytami, dzięki którym przeobraziło się życie muzyczne, ilość słuchaczy przybrała rozmiary niespotykane.

Znał też się kiedyś na tym miejscu cyt. dotychczas znomych i ilości recenzji, poświęconych płytom. Tym bardziej, że

nie chodzi przecież o słuchanie płyt modnych piosenek, które najszybciej tracą na wartości.

W Warszawie powstał Klub Dobrej Płyty. Ale co z tego, żali się L. Erhardt.

Organizatorzy Klubu Dobrej Płyty mają widocznie dobre chody i dzięki nim zaopatrzili się w przyzwoite gramofony i adaptory, umożliwiające teraz słuchać marzeń o Dobrej Płyty. Zapewne więc nie orientują się, że to, co w naszych sklepach oferuje się do kupienia — z gramofonem i adapterem ma wspólną tylko nazwę. Płyty Polskich Nagrań rzeczywiście poprawiły się w ostatnich latach, jest ich coraz więcej i coraz bardziej zbliżają się do średniego standardu światowego. Już tylko co pięta płyta kupiona w sklepie trzeba nosić do wniemy z powodu wad technicznych.

Natomiast gramofony są nadal haniebne — począwszy od wyglądu zewnętrznego, przez mechanizm, jakość wkładek, układ wzmacniacza, aż do głośników włącznie. W Zittau wyprodukowano zupełnie przyzwoity gramofon Ziphona. Sprowadzono więc z NRD pewną ilość tych aparatów — niekompletnych i starego typu. Jedyny ratunek w majsterkowaniu.

POEZJA

Znany miesięcznik o tym tytule, tzn. część grudniowego numeru poświęcił, jak łatwo się domyślić, Leśmianowi. Teksty są wnikliwe, ozdobne numeru stanowią listy, świadczące o afekcji, o niby-przebiegłości i dziecięcej zarazem naiwności

wielkiego pisarza. Czy nie przeholował znany poeta z Wrocławia, Tymoteusz Karpowicz? Chęć zapewne uniknąć wypowiedzi impresyjnej, wróżeniowej, próbuje swoją analizę krytyczną „unaukować”. W wyniku otrzymaliśmy zespół wzorów, zakończony konkluzją słowną: P>P, C>P, C>C, C>C/P, C>N/C, C>U, C>U/C, C>U/P, C>R>U/C, U>UP, U>P>B, C>B, C>B/P, B>B2.

Tak więc od prymitywnej agresji „pylistej rozwałki” osiąga ruch postać najwyższą — walki z bogiem.

Teraz już nikt nie będzie miał jakiegokolwiek wątpliwości!

I SPORT...

Z „Polityki”: Miłe podniecenie panuje w sferach sportowych, ponieważ zbliżają się Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Grenoble. Na poprzednich Igrzyskach na każdego zawodnika przypadało (jak podaje „Głos Koszaliński”) w składzie polskiej ekipy 0,73 dziennikarza i 2,13 działacza sportowego, a przecież wszystkie wskaźniki u nas rosną.

NIE-CELNIE

W kolejnym sprawozdaniu kryminalnym Wandy Falkowskiej („Przekrój”) znajdujemy poniższe zdanie: „Zabił więc dawnego kolegę i nawet nie osiągnął celu, dla którego to uczynił...”.

Tak, to bardzo przykre!

JAN OLECHNO

współczesnego Karolowi Wielkiemu — obrała sobie brać piwowską za patrona, iako wynalazcę „prawdziwego piwa”. A Polacy?... wiadomo — od trunków nie stronił nigdy i już w zaranu swich dzieł warzył nieszło piwko i pociągali zdrowo po puszczech. Ba, dotrzymując zasad słowiańskiej gościnności użyć użyczył nawet tajemniczy wyrobu sąsiadom z Zachodu. Bez wzdzięności jednak, próbowali Niemcy twierdzić, że to właśnie Polacy z ich tas-ki piwo pija. Prostawal rzecz Brückner w swoich „Dziejach kultury polskiej”, wy-jasniał też i inni, a Władysław Syrokomla podsumo-wał dyskusję wierszem:

Fot. Z. Jarzyński

— Nalać panu? No, jeszcze
żdziebko... W tej ciasnej, du-
nej „pijalni” na Piotrkow-
skiej zdrowia Gambrinus
przecież nie wypijemy...

Chuligani
spod strzechy

Podobny Ryskowski wzrostem, siłą i uro-
da był Bolek. Najtrudniejsze, szczeni-
cane lata już bez ojca spędził. Najodważniejszy
był i najwięcej żalu miał do tych z Górki.
Kiedyś z nożem w łopacie stamtąd wrócił
i przysnął spać na sryrach. Matka zemdla-
ca, gdy ujrzała sławioną koszulę. Potem wy-
szła w Górce wezyscyłuchnie zęby przednie wy-
tuliła. Odgrażała się, nie ustępował, a gdy
tylko chłopaka z jego wsi tknięto, natych-
miast w sukurs ruszał. Słuchał to rad sła-
rej, samotnej matki? Już się ona cieszyła
że w gospodarce pomoże, bo go z wojska
wcześniej zwolnili; że nieźle dorobił sobie
w Łodzi. Inaczej się stało. Wittek od dzie-
cinstwa tajemniczy był i żądny przygód
i sławy. Często się z Ryskiem czubił, za-
bawiali w Zorro, a potem pokumali ser-
decznie. Najładniejszy był: szczupły, clem-
ny jak Cygan, z wielkimi, czarnymi oczami
co je wzięto po matce. Dziewuchy za nim
szalały, ale Wittek nie baczył na nie. W
klubie biegi trenował. Smiało się ludzi
widząc go ganiających samotniczo po po-
lach. Ze dwadzieścia dyplomów w izbi-
leży, a poczenie miejsce zajmuje pozła-
cany medal za mistrzostwo w biegu na
3000 m podczas spartakiady Ziemi Łódzkiej.
Ostatnie odznaczenie dwa dni przed are-
towaniem otrzymał.

Blisko Słupska siedziała rodzina Wacka na wielkiej gospodarce. Chłopak, gnany do roboty, zbuntował się i uszedł w świat. Machał na to ręką, bo co się półgłówkiem przejmować. A on zakotwiczył się w szczecińskiej stoczni. Różne koleje przychodziły, w kiciu nawet klinował, tatuaze pięknie miał. Potem starzy kupili gospodarkę w Lutowie, chłopaka ściągali i samego na pastwę losu zostawili. Zgłodniał chłodził, bez grosza, toteż rad był wielce, gdy kumple do chałupy poczuli się schodzić, bo to i zjeść, i wypić przynieśli. Całe noce pruli w karty, popijali solidnie, a gdy trunku nie stało, o korekółkiwie godzinę w „punkcie monopolowym” dostali. Z chałupy wrzaski się niesły, śpiewiki sprężone też odchodzili, że starci ludzie wielce tym byli zgorszeni. Szemrali, szeptali, złorzeczyli, lecz na tym się kończyło. A podochocone chłopaki w noc wychodzili. To pod weśmalem się zabawiali i szybko wybił, to znów żarówkę koło młyna gruchnęli. Kiedyś indziej wróbie ludziom do izeby puszczali a nabożne praktyki majowe pod kapłkizką świecą dymną okadzili. — I na Kuropatwie sobie używali, że to chłop był chorobliwie nerwowy. Gdy jechał rowerem, Wacek z drzewka krzesał: puff! puff!, a stary walił się obliczem na matkę ziemię. Witek rzadko bywał w Wackowej chałupie, częs-

Szlachcic na słonecznej zagrodzie

Dalszy ciąg ze str. 1

do megalomanii — bo Potoccy jeszcze wówczas byli parweniuzami. U jednych z wieku na wiek pielęgnowano bogactwa, u drugich naukę. Potoccy zgromadzili ogromny dobytek — Przypkowski już w XVII wieku nauczał na Uniwersytecie Jagiellońskim, podróżował po uniwersytetach Europy, pisali dzieła uczono, jak choćby Samuel Przypkowski — którego traktat o stosunku państwa i kościoła chwalił Newton i rozwijał w swoich dziełach jego myśli angielski filozof John Locke. Konstanty Przypkowski ożenił się z wnuczką przywódcy Braci Polskich, alias Arian — Fausta Socyna — przez którego Przypkowski uzyskał koligację z dwoma papieżami: Piusem II z rodu Piccolomini i Pawłem V z rodu Borghese. Kuzyn Przypkowski, Zielenkiewicz, który pod pseudonimem „Casiel” znany jest we Francji jako malarz — ożenił się z kuzynką królowej Anglii, Elżbietą II — wskutek czego dr Tadeusz Przypkowski z Jędrzejowa gotów jest uważać się za kuzyna królowej Anglii i z tego tytułu protestuje przeciwko przymowaniu do rodziny fotografów... Ale nie o koligacje tu chodzi. O tradycje rodu, który za dewizę wybrał sobie łacińską sentencję: „Non habere — sed esse”. „Nie mieć — ale być”. Oto znak polskich arystokratów nauki, technika sgraffito uwieczniony na murze jędrzejowskiej posesji, która zieloną kopułą króluje nad Rynkiem.

Bo gdzież wreszcie jest ten sławny zegarami słonecznymi Jędrzejów, który między posiadłościami Przypkowskich jako żywo nie był — ale dzięki nim zyskał sławę i znaczenie? Oczywiście w Polsce, na trasie Kraków — Warszawa, dokładnie 80 kilometrów od Krakowa na północ. Kamienica z zieloną kopułą kuźnia została przez Przypkowskich u progu XIX wieku od mieszczańskich Jędrzejowskich i Kiełsińskich, w tymże wieku XIX Piotr Andrzej Przypkowski ufundował kaplicę przy miejscowym kościele parafialnym. Przejedźdzał przez Jędrzejów wędrowny malarz, podający się za artystę, Piotr Andrzej zlecił mu wykonanie zegara słonecznego na ścianie kaplicy. Artysta wziął grosz za robotę i pojechał — a zegar zlewał wskazywał godzinę! Ostatecznie nie po to Jan Józef Przypkowski już w XVII wieku wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim astronomię — aby jero potomkowie nie uporał się z obliczeniami słonecznego zegara! Młody Feliks Przypkowski — student medycyny naocznie — obłożył się uczniami słonecznego zegara! Młody Feliks Przypkowski — student medycyny naocznie — obłożył się uczniami słonecznego zegara! Młody Feliks Przypkowski — student medycyny naocznie — obłożył się uczniami słonecznego zegara! Młody Feliks Przypkowski — student medycyny naocznie — obłożył się uczniami słonecznego zegara!

wich pod Londynem, a zaproszony do Anglii projekt przedłożył — chlubił się satysfakcją, że teraz na południku „zero” główna linia wskazująca południe została obliczona przez Polaka.

Ogólnie rzecz biorąc sprawa przedstawiała się następująco: lord admiral Runcinan chciał zrekonstruować 8 zegarów słonecznych w obserwatorium astronomicznym Flamsteed w Greenwich. Zegary te ilustrują wiedzę o gnomonice, czyli o zegarach słonecznych. Najpierw zwrócono się do Cambridge, potem do Oxfordu — przy czym okazało się, że ten drugi uniwersytet ma lepsze kontakty, bo od razu odnalazł ostatniego słonecznego zegarmistrza na świecie, który mieszka w Jędrzejowie i dyrektor oxfordzkiego Muzeum Nauki nawiązał do Polski. Tak więc zobaczył ów sławny dom z zieloną kopułą i wiele niespodziewanych rzeczy w oficynie domostwa. Królestwo rzeczy dawnych i dziwnych — które pod nazwą „Muzeum im. Przypkowskich” ewoluje w Jędrzejowie, ostatnio zwiększyło swój stan posiadania również w ruchomościach, jak i nieruchomościach. Po do stawnej kolekcji zegarów słonecznych i instrumentów astronomicznych przybyły nowe i choć przez to kolekcja nie stała się największym zbiorem zegarów słonecznych na świecie, ale tylko największym „naukowo prowadzonym” zbiorem — to siedziba tego zbioru musi każdemu imponować. Zielona kopuła kryje własne obserwatorium astronomiczne Przypkowskich — jak można się było tego domyślić — ale wspaniałego gmachu z ogrodem, przez który przebiegała ogromne schody wodne — domyślić się było nie sposób. Gmach muzealny, zbudowany w oparciu o znakomite wzory Muzeum Historycznego w Wiedniu, Pawilonu Raudolfa w Brukseli i Cordinglass pod Buffalo, a przeszklonej dźwiej fasady miejsc piękna sple wystawowa i imponująca wnętrze. Zresztą piwniczny loch otworzony jest nieco dalej — w nim klasyczna piwnica „antyczna”, gdzie niedługo wazono leki. Co tu zresztą ukrywać — dawne antyki były — jak powiada Tadeusz Przypkowski — no prostu małymi gorzelniami, które produkowały znamienite wódki! Następna niespodzianka: do muzeum Przypkowskich przylączono sąsiedni dom, który aktualnie znajduje się w przebudowie. W budynku tym mieściła się jedna z najstarszych antek w Polsce — anteka klasztoru Cywstów, którą w wieku XIX prowadził Damazy Patek. Fakt nie bez znaczenia, bowiem praktykował tutaj Antoni Patek — zanim został zegarmistrzem i wspaniałą karierę w Szwajcarii zrobił, tworząc firmę „Patek”. To przecież zwykły jędrzejowski Patek!

Ogrodzenie terenu muzealnego wykazuje parantele z osiemnastowiecznymi ogrodzeniami rezydencji amerykańskich w Filadelfii, murami kalwarii reformackich i ogrodzeniem warku Morwana w Nowym Jorku. W ogrodzie rosną będą różne czarodziejskie zioła używane niekiedy przez alchemików. A wnetki muru ozdobiła została znakami Zodiaku w technice sgraffito. Pośród zabudowań miejsca jeszcze znalazła nowoczesna willa Przypkowskich, z tarasem na trzech kolumnach — wspartym — jak herb Przypkowskich, Radwan, trzy kolumny, podporządkowana połączona z górną, na niej mały krzyżek. Ale chciałem Wam opowiedzieć o tej

kolekcji zegarów słonecznych — są to małe pudełeczka o bardzo misternie wykonanych tarczach i wskazówkach, niekiedy w kości słoniowej, niekiedy w drzewie i w gablotach, kiedy słońce świeci z dala od ich tarczy — są martwe i nieciekawe. Ale stoja szeregiem — egzemplarze wykonane w Augsburgu osobno, osobno te w Norymberdze — kolejno podług lat ilustrują ewolucję form dawnego warsztatu, heidelberskie i chińskie klepsydry różnorakie, jest cyrkiel kwadrantowy Joachima Stegmana profesora ariafskiej Akademii w Rakowie i zegar gwiazdowy Apolonia. Dla niewtajemniczonych najciekawszy będzie zegar słoneczny króla Stanisława Leszczyńskiego, teścia Ludwika XV, który opuściwszy ojczyznę, życia dokonał w Nancy. Zegar na alabastrowym cokole prócz tarczy z oznaczeniem godzin ma armatkę na lawecie i wielką soczewkę. Kiedy słońce znajdowało się w zenicie — czyli w samo południe — promienie słoneczne skupiały się w soczewce i zapalały lont, armatka strzelała. Król Leszczyński, zalety jakimś obliczeniami — bo podobnie jak Przypkowski bawił się astronomią — podskakiwał gwałtownie na stołku, ale po chwili się uspokajał, stwierdzając, że to właśnie południe. Skoro już o monarchach mowa — to ma Przypkowski okazynie i tajemniczo nabyty oryginalny zegar króla Jana Kazimierza — ale to już zwykły z wiekiem, ma niekroślowy zegar „szulerski” zawieszany nad stołem — aby ułatwić graczy w karty sprawdzanie upływającego czasu, bez konieczności odwracania się.

A od gry w karty może przejdziemy do gastronomii — bo Przypkowski w słońce się patrzył jako astronom, ale w Pomiana Pożerskiego króla kuchni francuskiej — jak w słońce — jako smakosz. Z tego wynika fakt wagi poważnej, bowiem Muzeum im. Przypkowskich uruchomił wielki dział gastronomiczny — ze starymi książkami kucharskimi i starymi naczyńiami — misy cynowe i miedziane tam wiszą na ścianach, szeregiem samowarów stoja i blyszczą się srebra dawne. Przygotowanie się kuchnia staropolska — muzealne laboratorium — a mistrz Przypkowski opętany gastronomiczną ideą (jest kancierzem kapituły orderu im. Pomiana Pożerskiego, który nadał się za zastępcę na polu gastronomii) daż do odbudowy ratusza jędrzejowskiego wraz z gospodą — aby w tej gospodzie pod własnymi auspicjami nalewek i lodów w Rzeczypospolitej urządzić.

I byłby ten reportaż o Jędrzejowie i docenie doktorze Tadeuszu Przypkowskim niepełny — gdybym nie dodał, że swoje zbiory wartości 200 tysięcy dolarów ofiarował państwu. Państwo z kolei przyznało fundusze na rozbudowę muzeum. A Przypkowski, uważając się za ostatniego szlachcica w naszym ludowym kraju — otrzymał posadę dyrektora państwowego Muzeum im. Przypkowskich! Nie dziwnego, że pewna markiza, natarczywie patrzaca nań podczas kongresu naukowego w Hiszpanii zadziwiona, czemu tak patrzy, odpowiedziała: „Chciałam wreszcie z bliska zobaczyć bolszewika!”

JANUSZ ROSZKO

tej Rysiek i Bolek, bo to po sąsiedztwie przesiek na cały tydzień się zamieniał naukę w szkołę przetrwał. Potem przychozili tu dziewczynki. Była i miejscowa — wsiwła córa Koryntu. Zawiodł się na niej niolanie Wacek i żyły sobie poprut. — Ty cymbale, idioto — wrzeszczał Bolek. — Przez taką sukę zdrowie sobie marnujesz? A Wacek słabym głosem szeptał: — Kochałem ją, serce mam takie, nie miejsce się. A potem mu we łbie zawróciła jedna z miast: tydzień z nim spała — dala nogę. Bolek plynął owadobójczego le nałopał i wszystkie stare leki polknął. Matka w mig przyjechała i lamentowała. — O Jezu kochany! Ojciec go chyba zakarup, do domu wariatów go zabiora, syna mego. — Nie rycz — upominała sąsiadka — opiet tam mieć będzie, jeśli dostanie. Na własną odpowiedzialność zabrała matka Bolesia ze szpitala. Na gromadzkim placu w Lutowie była abawa. Umieszczona wysoko na słupie barówka oświetlała tłum barwny, gwarny i tanecznie rozdygotany. Orkiestra grała na kalifornię ciagnikowej. Z Zenkiem na czele przyszli ci z Górki, a że bali się odwieu za swe czyny u siebie, prosili strażak(w) opiekę. Strażacy byli niezgorzej napici, więc draki nie uszregli. Z cienia gruszy wypadł Zenek i trzasnął Ryśka, że ten le zwał. Jednak ład udało się zaprowadzić. Potem sam ojciec gromady chodzil pasem strażackim w reku i pedagogicznie spory rozstrzygał. A potem jeszcze jeden szczeniak uchylał się winem i leżał bez pamięci w rowie. Któras z kobiet poprosila: — Rysiu, odprowadź tego gnojka do domu. Matka tam w szpitalu, ojciec na noc pracuje, co się smyk będzie przeziębiał na golej ziemi. — Zrobi się, chodź, Witku, idziemy!

Dołączył do nich Wacek, a potem Grzesiek. Bolek w tym czasie odprowadzał pannę, ale w zupełnie innym kierunku. Dowiedzi spitego konusa do chałupy, stojącej przy drodze z Górki do Lutowa. Wracając posłyszeli przed sobą głos. Nastuchiwali. — To ci z Górki — szepnął Rysiek — tylko nie widać, ilu idzie. A tamci szli rozciągnięci na przetrzeni stu metrów Rymnili więc w nabrzmiały nocną wilgocią owies. Czekał przyzajeni, pełni napięcia. Wacek nie wytrzymał.

— Skurczybyki, za Ryśka śnupy rozkwasimy! I wypadł z piachami, za nim ci trzej. Trzasnęły drzewka przydrożne, zakotłowało się w nocnej pomroce. Nadbiegli ci z tyłu, już ich było dziesięciu, więc waleczna czwórka salwując się ucieczką, wpadła w podwórze. Poszły w ruch kolki, cegły i szpadle. W zamieszaniu rozcięto głowę Zenkowi. Gdy nie stało woda, ustali zapal, i enlopaki z Lutowa przysnęli przez pola. Zenek trafił na kilka dni do szpitala. Pierwsi pojechali do niego na ugodę, ale ręki nie chciał im podać. Zaczęli ich ojciec gromady.

— Chłopa, pojadę z wami do Zenka i raz na zawsze obie wasie pogodzimy. Na drugi dzień pojechali.

— 50.000 dacie, bo inaczej nie mamy co gadać — powiedział Zenek z zimnym uśmiechem. Oniemieli. Na ten czas wpadł przewodniczący GRN. Zły był, bo skargę ktoś z Lutowa na niego napisał.

— Nie ma żadnej ugody, zjeżdżać do domu! Odeszli. Potem zameldował, że to oni drzewka polamali. Skąd wiedział? Dziw! — mnie trochę postawa ojca gromady, ale nie moja to sprawa. Zajmuje się nią Prez. PRN w Łodzi, zbiera materiał dowodowy i niechybnie jakowś konsekwencje wyciągnie. Podczas dochodzenia prokurator

wykluczył Wacka ze sprawy, ponieważ podczas przesłuchania wyjął kozik i ostrzył go niewzruszenie. Dziś Wacek jest w wojsku. Grzesiek poszedł do poprawczaka, a Rysiek, Wittek i Bolek dostali po półtora roku odsiadki. Skąd Bolek? Był na ugodzie — musiał się czuć winny. Ponadto: Bolek nie zawsze się dawał tym z Górki, nieraz im gnaty dobrze pomagał. Złi byli, więc całą dziesiątką zeznali twardo, że to Bolek wzywał do ataku w ową nieszczęsną noc.

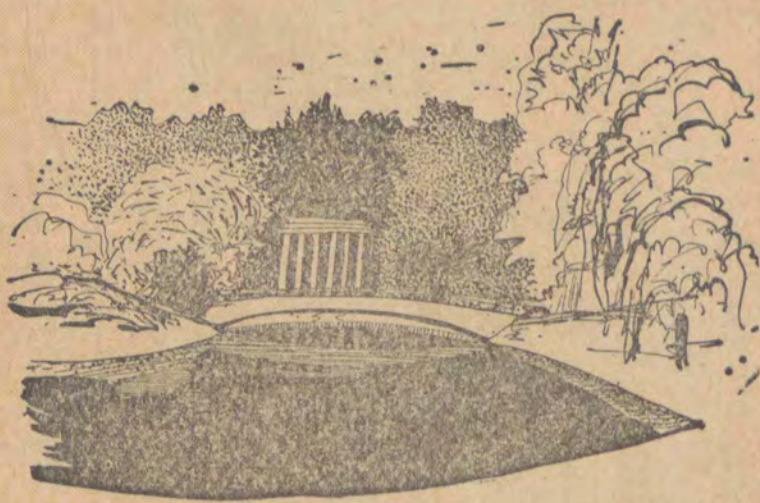
Najpierw byli „pod celką” na Stokowskiej w Łodzi. Wittek nie chciał się gimnastykować. Gdy inni łamańce czynili — on biegał dokoła podwórza wieziennego i trenował. Potem pojechał do Potulic koło Bydgoszczy. Tapicerki się wycuciły, ma już dwóch uczniów i zamiast trzech — pięć tapczanów przez 8 godzin obciaga. W zielonym mundurze z szarymi paskami paraduje. Rygor mu zdjęto, jedzenia ma dość, że leberka przez okno rzuci. — Ale, proszę pana — matka uśmiecha się i podaje list: „Kochana Mamusiu! Kiedy wrócę do Ciebie nie będę już taki lekkomyślny i zawsze Twych rad wysłucham”.

— Wiesz — mówię do młodej panny, córki Grzeskowej macochy — ludzie mówią, że dobrze się stało, iż Grzesiek trafił do poprawczaka.

— Eh, ludzie mają złe języki. — Mama tak mówi? — Tak! — To co tam u Grzeska słychać? — My go często odwiedzamy. Ma dobre jedzenie, w piłkę gra, uczy się i pracuje. Należy do grupy czerwonych koszul. Na zakończenie roku otrzymał dwie nagrody: za bardzo dobrą naukę i pracowitość na warsztatach.

Uśmiecham się i powiadam: — Moja droga! Powiedz mamusi, że ludzie jednak nie mają złych języków.

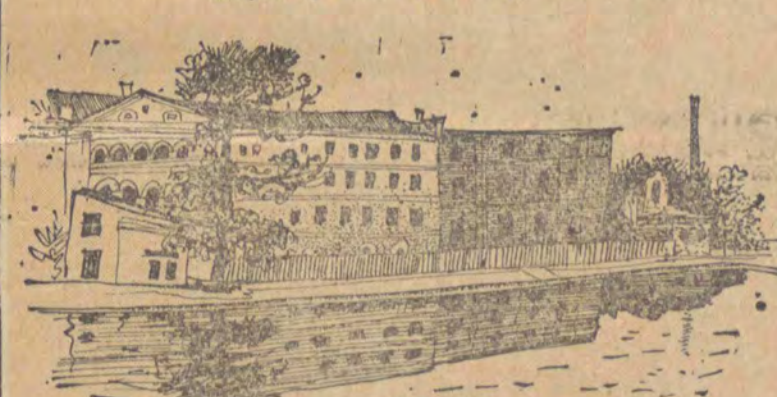
Z teki graficznej Wacława Kondka



Park Poniatowskiego



Zabytkowy dworek, ul. Rzgowska 247



Staw przy Białej Fabryce Scheiblera.

Matka Boika mocno postawiła ostatnio. — Nie dostanie pan widzenia z Boikiem, bo on ma jeszcze rygor. Tak, włosy zgolone na zero. Ostatnio podpadł z „lewym” listem. Chciał się powiesić ze zgrzyoty, że tak wpadł. Niewinnie. Nie chce przyjeżdżać na żniwa, bo żal by było wracać znów do Giszowca. Pisze, że z kumpłami zerwie i jak wróci, to się zaraz ożeni. O szlachetny wpływie reedukacji!

Jestem w Giszowcu — Katowicach. W małej poczekalni piszę podanie do naczelnika. Wiele tu czeka ludzi. W pięknej świetlicy siedzi za stołkiem Rysiek. Gdy ogłoszono przez radio, że ma widzenie — nie wierzył. Tak, jest po rygorze, włosy ma dłuższe. Wypaś się, zmęźniał, spalony na brąz, tylko ręce pełne gruzłów — pracuje przy budowie drogi.

— Jak się tu u was życie toczy? — Po rygorze znośnie. — Zastanawiasz się nad swoim losem? W ogóle, jak się tu zaaklimatyzowałeś?

— Proszę pana, ja nigdy nie wierzyłem, że more trafić do mamra. Dlatego taki głupi byłem. Cholernie ciągnie nad wodę, w pola, do lasu, żeby choć raz zaciągnąć się jego zapachem. A kiedy w niedzielę podczas „czynu” zamiatałem ulicę w Katowicach i widziałem spacerujących ludzi, i dziewczyny kolorowe, ładne dziewczyny, to płakać się chciało. Szkołę skończył, na pewno.

Strażnik ogłasza koniec widzenia i Rysiek odchodzi z głab podwórza.

Tych czterech chłopaków chyba jeszcze kiedyś spotkam. Może jeszcze raz wejdę w ich życie, może o nich napiszę. Ale inaczej — jestem optymistą.

Czerwony Jansiu

Policia wiedziała o spotkaniach u szewca Jansia. „Oni o wszystkim wiedzieli – powiada Agata. – Kto i kiedy przychodził do szewca, o czym rozmawiali i jakie pieśni śpiewali”. Jansia zatrzymali pewnego razu w areszcie i badali. Chodziło im w tym przypadku o nauczyciela i jego przyjaciela Jakuba, którego ojciec, o czym rozmawiając z Jansiem, słyszał, że nauczyciel dostarczał ulotki Jakubowi. A Jansiu, jak to on, z góry na nich. „Cóż wy sobie myślicie – powiada – że nauczyciel jest moim kumem, żebym wiedział, co on ma w głowie? Ze on mi się zwierza ze swoich myśli? O Jakubie wiem wszystko, owszem, porządnym i pracowitym człowiekiem. A wyrzucił go z fabryki za carę. W 1905 roku. Więc, co wy, psłamać chcecie płacić rachunki za carę?” Ten, co badał Jansia, był bardzo cierpliwy. Może go sobie przypominasz. Taki ryżawy, lysiejący z przodu. Jak się na niego patrzyło z góry, to tak jak na żółtą dynię, pośrodku rzadko włosami. W czasie okupacji okazało się, że był konfidentem. Katarzyna dostała do tego i lesni go zastrzelili. Więc ten policjant zaczyna znowu z innej beczki. „No, a ta dziewczyna, Katarzyna, z którą podobno sypia nauczyciel, o wy wiecie o niej?”. Jansiu podskoczył na krzeselku. „To już do tego doszło – że się o takie rzeczy pyta?” A mnie to obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg. Pytacie się sami. Ja z nauczycielem nie sypiam”. Nie z Jansiem nie wydarli. Twardy był Jansiu jak kamień. Boże święty, kiedy sobie człowiek pomyśli, że i on przepadł. A zresztą „Jansiu i tak był skazany na śmierć. Gryzła go ta straszna choroba, od której nie ma ratunku. Nie by mu nie pomogło, ale przynajmniej byłby wśród swoich. Pamiętam, nieraz mi mówił: „Wiem, Agato, że mi pisano śmierć, ale to się pocieszam, że będę leżał wśród swoich”. A gdzie on teraz leży? Zabrał go Niemcy i przepadł chłopa”.

A to jest wezwanie, żeby ojciec stawiał się na posterunku. Znalazłem ten papierunek w blaszanym pudełku, w którym ojciec chował kwity za podatki. Prawdopodobnie takie samo otrzymał Jansiu. Stryjna powiada: „Ojciec i Jansia wezwali, pamiętasz, po strajku w Tomaszowie. Wtedy wam padła ta gniada kobyla. Plakatek o nią, ledwie cię działek uspokoił. Działek kłął na twojego ojca: „Gdzie go, psiakręć, diabli ponieśli. Na drugi krancie świata”.

Ludzie mówili, że robotnicy, którzy zastrajkowali w Tomaszowie, bili w dzwony kościelne na ratunek. Cała okolica słyszała te dzwony. Tomaszów od nas daleko. Nie mogliśmy słyszeć tych dzwonów. Do nas przyszła wiadomość inną drogą. Ludzie opowiadali niestworzone rzeczy, że robotnicy opalali miasto i sprawują rządy, i że wojsko ich otoczyło, a oni dorwali się do dzwonnicy i wywołują ratunek. Ojciec poszedł do Jasińskiego, był tam i Jansiu. Wpadł do nich, bo od razu się zorientował, że coś się święci. Przypominał sobie, jak wyglądał pokój Jasińskiego? Szafka z książkami, tapczanik z drzewa, nakryty słomianym siennikiem. Jasiński powiadał, że to jest

i konno szli do miasta. Zwozili chleb i ziemniaki. Był to widok, że niektórzy płakali”.

„I cóż? Wtedy zmarnowali kobyłę. Ledwie dociępali z powrotem do domu. Przemęczeni ją, widać, długą drogą, koń był niedawno ożrebiowany gwałtownie jak opętany. Ojciec radził się sąsiadów, żeby zrobić. Jansiu mówił, żeby sporządzić wywar z młodych czubków sosnowych i dawać kobyłę do picia. Chodziłam z twoją matką do lasu i obrwaliśmy sosnowe czubki, ale jednak nie pomogło. Matka Katarzyna, żyła wtedy jeszcze, okadzała konisko święconymi wiankami i palmami, ale to psu na bude się zdało. Plakaliśmy z matką nad tą kobyłą, jakby kto bliski umarł”.

Przychodziłem czasami do Jansia. Patrzyłem jak naprawia buty, jak wiąże dratwę sfatygowaną cholewkę. Jansiu lubił moje odwiedzin. Nie przerywał swojej roboty. „Widzisz, co mnie czeka jeszcze dzisiaj – mówił – ja swoją pracę uwielbiam i rozumiem ją. Kiedy wezmę but do ręki czuję się tak, jak inny za plugiem lub brzołą. A w ogóle wydaje mi się, że człowiek bez roboty jest niepełnym człowiekiem”. Potem robił wykład na temat butów. Ustawiał je w rzędzie na warszacie, bardzo żałośnie wyglądały, przekrzywione, koślawe, bez obcasów, z odstającymi latami. Jansiu mówił: „Tyś uczony, chodzą do gimnazji, ojciec siły dla ciebie traci, no to powiedz teraz, uczony człowieku! czyje to buty? Poznajesz, oto ten z brzozy – twojego ojca. Zobacz, ojciec ściera zółwki od zewnątrz, coś mu dolega w stopach, przekrzywia je zbyt na bok. Zauważyłem, że chód na niepewny. Musi mu coś dolegać. Powiem ci, że boję się o twojego ojca. Bo widziałem, mnie już zaczynał po kawałku krajać. Mówiłem ojcu, idź do Kowalki, niech ci zobaczy, ale, bracie! Kto przemówi twojego ojca... No, a ten ciekawy trop. Obejrzyj no go. Ho, ho, co za cwanialak go nosi, ostro chodzą, na nie nie zważa. Widziałem, jak obcas poszły w diabły. A przecież miesiąc temu dawałem mu nowe i jeszcze że-

żartuję, Jansiu, ja wiem, że wy do kościoła nie chodzicie, to wasza sprawa, ale i to wiem, że macie czyste serce”.

Jansiu był zagorzałym przeciwnikiem kleru. Znał jego wystąpienia przeciwko księżom. Ale też nie słyszał, żeby Jansiu powiedział co złego na naszego proboszcza. Na wszystkich innych kłął, wystarczało, że zobaczył kogo w czarnej sutannie, a już twarz mu czerwieniała, lecz o naszym proboszczu źle się nie wyrażał. Proboszcz był wysoki, tęgł, nie umiał śpiewać, kiedy przy wielkim ołtarzu zaintonował pieśń, to wszyscy, którzy go po raz pierwszy słuchali, nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Zamiast płynnej mowy, która wychodziła z jego gardła skandowane bulgotanie. Może mu kto powiedział o tym, bo później już nie śpiewał, tylko recytował głośno. Pochodził ze zubożonej szlachty, podkreślał to swoje pochodzenie, lecz nie żeby się tym chlubić. Mówił, że czekała go kariera wojskowa, lecz „niezbędne wyroki Opatrzności” pokierowały jego drogą inaczej. I nie żałuje tego. Do ludzi odnosił się życzliwie, bo ja wiem zresztą, czym się kierował, na pewno nie taką polityką, jaką stosowali niektórzy jego sąsiedzi. Nie był dumny i rozumiał człowieka. Ludzie mówili, że miał w tego powodu przykrość. Przed ludźmi nie się nie ukryje. Jeździł i do miasteczka, do diekana, a na wet tak mówiono i biskup go wyzywał. Przypominam sobie jego wysoką postać, jak idzie z wolna przez wieś, jak by nieobecny, nie zatrzymuje się nigdzie, omija domy, w których by go chętnie widział. No, przychodził do Jansia, siadał na zydełku, i patrzył, jak Jansiu robi buty. Jansiu nie mówił i proboszcz milczy. Mogą tak siedzieć i godzinę. Jednego dnia proboszcz zapomniał Jansia, czy nie pomyliłby mu w robocie. Ma taką robotę, którą tylko Jansiu może wykonać. Jansiu pyta się, co to za robota. A proboszcz: „Chciałbym abyście przybliżyli Chrystusa do krzyża”. Jansiu potem powiedział: „Ostatnio przybył Chrystus do krzyża, proboszcz mnie o to

JAN KOPROWSKI

Kto nie był, niech żałuje

W połowie grudnia ubiegłego roku odbyła się w Łodzi dwudniowa sesja naukowa, poświęcona życiu i twórczości Władysława Reymonta. Słowo „sesja” i w dodatku „naukowa” brzmi groźnie i zapowiada ciężką pilę dla wąskiego kręgu specjalistów. Tymczasem pragnę pośpieszyć z doniesieniem, że była to impreza wielce interesująca, pozbawiona cech dostojnego akademizmu, która przyniosła dużo cennego materiału o autorze „Chłopów” oraz o losach jego książek w kraju i za granicą. Już w tej chwili cieszę się na myśl, że w końcu 1968 roku cały ten materiał zostanie pomieszczony w specjalnym tomie „Prac polonistycznych”. Sadzę, że radość moją podzielią oświecone koła czytelników, zainteresowanych intrygującymi dziejami życia i twórczości naszego drugiego, po Sienkiewiczu, laureata nagrody Nobla.

Zreferujemy jednak wszystko od początku i po kolei. Rok ubiegły był Rokiem Reymontowskim, jako że obchodziliśmy setną rocznicę urodzin pisarza. Wiele z tej okazji o nim mówiono i pisało, w Łodzi, która ma szczególne obowiązki wobec twórcy „Ziem obiecanej”, odbyła się w maju akademii, inaugurująca uroczystości Reymontowskie w całym kraju. Grudniowa sesja, zorganizowana z inicjatywy Uniwersytetu Łódzkiego i Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, stanowiła jakby zamknięcie i podsumowanie tych uroczystości. W pierwszym dniu referencji skupili się głównie na problemach biografii i twórczości, dopowiadając sporo nowych szczegółów i ustalając rzeczy niejasne lub wątpliwe. Biografia Reymonta, który zmarł w r. 1925, a więc w naszym stuleciu, zawiera luki i uczeni mają tu niejedno jeszcze do zbadania i stwierdzenia. W historii naszej literatury, nawet tej najnowszej, wiele jest obszarów nieprzebadanych na leżycie. Wciąż za mało wiemy o pisarzach, o których winniśmy mieć wiedzę pełną i uporządkowaną. Wiele zajmująca pod tym względem była wypowiedź prof. Zdzisława Skwarczyńskiego, który od dawna zajmuje się Reymontem, o czym może świadczyć wydany przed kilkunastu laty jego, niewielki zresztą, szkic o pisarzu. Prof. Zdzisław Skwarczyński był też duszą omawianej sesji, gdyż i w drugim dniu to czym za chwilę wygłosił ogromnie ciekawy, a pisańczego te słowa szczególnie obchodzący referat o tłumaczeniu „Chłopów” na język niemiecki. Z innych głosów warto wyróżnić głos dr Stanisława Kaszyńskiego („Reymont – człowiek teatru”), mgr Aleksandry Budreckiej („Zagadnienia natury i cywilizacji w twórczości Reymonta”) oraz dr Marii Kamińskiej („O stylizacji gwarowej w „Chłopach”).

Powiedziałem już, że najbardziej zaintrygował mnie dzień drugi, w znacznej swej części poświęcony przekładowi dzieł Reymonta na język obcy i ich recenzji za granicą. Niestety, frekwencja w tym dniu była dość słaba, dziwić się należy nikłemu zainteresowaniu sesją ze strony studentów, osobliwie – studentów polonistyki, których na ten czas zwolniono z innych zajęć. W tym miejscu nie mogę powstrzymać się od uwagi, że poloniści wiedzą ży-

wot dość niemrawo, nie są wcale (jak dawniej bywało) solą życia studenckiego i nie interesują się tym, czym się właśnie interesować powinni – literaturą. Uważam za rzecz w najwyższym stopniu gorszą i nieprzystojną, ba! skandaliczną, że na wieczór literacki z udziałem znanego pisarza (dodajmy: wieczór zorganizowany z inicjatywy polonistów i dla polonistów) nie przyszedł nikt, podkreślam – nikt, z wyjątkiem organizatora, który palł się ze wstydu (ale nie spłonił) za swoich beznadziejnych kolegów.

Ale wróćmy do sprawy tzn. do drugiego dnia wspomnianej sesji. Dr Zygmunt Grossbart zainicjował wszystkich uczestników swoim zwięzłym i pasjonującym referatem nt. „Reymont w Rosji”. Warto przytoczyć tu za referentem słowa E. Aniczkowa z jego artykułu opublikowanego w 1903 roku: „Rosyjska wykształcona publiczność chętniej i uważniej wyczuje się w dzieła współczesnych pisarzy polskich, aniżeli w literaturę odległego Zachodu Sienkiewicza, Orzeszkowa, Prusa, zaś z młodszych Żeromski i Reymont – oto na zwiska nie tylko dobrze, ale nas znane, lecz bliskie nam prawie że rodzime”. Faktorem i opinii, zgromadzonej w wypowiedzi dr Grossbarta, przysłuchiwał się z prawdziwą przyjemnością i żalowałem, gdy skończył swoje wywody, albowiem chętnie słuchałbym go dalej. Podobnej satysfakcji dostarczył obecnym na sesji obszerne referat prof. Skwarczyńskiego o korespondencji Janusza Pawła Kaczkowskiego z Reymontem i o przekładzie „Chłopów” na niemiecki. J. P. Kaczkowski, dziennikarz i tłumacz, znający wybornie język niemiecki, publikował przekłady dzieł Reymonta pod pseudonimem Jan Paul d'Ardeschach. Istnieje legenda (sam przyznaję się do tej rozprzestrzenienia), że „Chłopów” współtłumaczył na niemiecki Karł Hauptmann, brat Gerharta laureata Nobla. Otóż prof. Skwarczyński, opierając się na listach J. P. Kaczkowskiego do Reymonta i po przebadaniu sprawy, obala tę legendę a w każdym razie podaje w wątpliwość zasługę przypisywaną Karłowi Hauptmannowi. Hauptmann był co najwyżej redaktorem niemieckiego przekładu „Chłopów” nie zaś jego współtłumacz.

Już te dwa referaty (prof. Skwarczyńskiego i dr Grossbarta) wystarczyłyby, aby znać sesję za udaną. A przecież o Reymonie za granicą mówili jeszcze inni, m. in. dr Istvan Csaplaros z Węgier i dr Józef Hvišč z Czechosłowacji (tekst tego ostatniego zreferował, z powodu nieobecności autora, dr Rafał Leszczyński).

Dwudniowa sesja stanowiła piękny akord zamykający uroczystości Reymontowskie w Łodzi. A wy, którzyście w niej nie uczestniczyli, żałujcie, bo jest czego żałować.



Rys. Magda Kapuścińska

go jakaś troska. Potem mi powiedział, co go tak gnębiło. „Jak trzeba iść, to pójść, mówił, ale chodzi mi o dziecko, niby o ciebie. To się może odbić na dziecku. Wyrzucił go ze szkoły”. To go bolało. Więc czekał, co inni uradzą. Jasiński był rozsądniejszy. „Nie, powiada, wy, Jansiu, w gorzej wodzie jesteś kapłani. Tak nie można. Trzeba to zrobić, co inni. Uchwalili, żeby pomóc robotnikom, to i pomożemy. Zawieźliśmy im żywność”. Tak też się stało. Chodził potem po wsi i zbierał, co kto dał. Ja też chodziłem od chałupy do chałupy. Nie wszyscy byli tego zdania, co Jasiński. Wiesz, o tym dobrze, jak jest u nas. Nie wszyscy byli jednej myśli. I w okupację to samo wyszło. Jeden na lewo, drugi na prawo. W końcu jednak zebrali, chleba, maki, kaszy, nawet pieniędzy. Ojciec zaprzął kobyłę i pojechał z Jansiem. Ale to daleko było. Tych dzwonów, które robotnicy targali, nie słychać było u nas. Ile to była prawda, Ojciec potem opowiadał, że kiedy zbliżyli się do miasta, to wydawało im się, że w powietrzu unosi się jeden jęk. Słyszeli te dzwony, wszystkie jęczały, aż w lasach odpowiadało. „Nie masz pojęcia – mówi Stryjna – co się tam działo. Chłopi pieszo

prosił”. Proboszcz lubił pracę fizyczną, a w sierpniu i wrześniu aż do aresztowania pracował nad wielkim krzyżem. Całymi dniami heblował więkną, wielką sosnę, potem przy pomocy Jansia zbił krzyż. Bał się tylko, czy nie utraciłki drewnianego Chrystusa, który stał od niepamiętnych czasów w kruszcu kościelnej, Jansiu wziął młotek, gwoździe i z wielką precyzją nie naruszając starej rzeźby, przybił ją do sosnowych ramion. Potem zaproponował proboszczowi żeby te rzeźbę nasycić różnymi smarami, które on może zrobić i w ten sposób zabezpieczyć ją od deszczu i mrozu. Proboszcz zgodził się. Jansiu pracował jeszcze nad tym dwa tygodnie, rzeźba po zabiegach Jansia nasycona olejami i smarami stwardniała jak żelazo. Chrystus jednak zmienił kolor, z szaro-brązowego stał się czarny jak heban. Postawiono ten krzyż przy wejściu do cmentarza w przeddzień nalazu Niemców. Kiedy Jansiu i proboszcz wchodzili do samopochodzącego popychani kolbami żandarmów, ostatnia rzecz, którą widzieli, był czarny Chrystus wiszący wysoko na tle pogodnego nieba.

(Fragment)

Roztańczone lalki

Ismieje u mieszkańców naszego miasta pewien, dość głęboko zakorzeniony kompleks. Kłopoty prowincji! No bo jakże inaczej? Ma Warszawa festiwale kulturalne różnego rodzaju odbywają się raz po raz, szczególnie modne, festiwale teatralne w Toruniu i Kaliszu. Tymczasem drugie co do wielkości miasto w kraju, będące prężnym ośrodkiem kulturalnym, traktowane jest pod tym względem nieco po macoszemu. Nie więc dziwnego, że sporo ożywienia w atmosferze miasta wniósł zorganizowany ostatnio z okazji 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej, Festiwal Sztuk Rysyjskich i Radzieckich w Teatrach Lalek. Poprawiły się nieco humory zakompleksionym łodzian, choć ten i ów, jak to zazwyczaj bywa, wybrzdylał nieco, że to tylko lalki. Utał się bowiem dość powszechny osąd, traktujący teatr lalek jako sztukę służącą wyłącznie zaspokojeniu potrzeb kulturalnych najmłodszego widza.

Festiwal, poza przeglądaniem aktualnych prac polskiego lalkarstwa, stał się także forum dla nowych dróg i poszukiwań w lalkarstwie. Przeglądając listę zaprezentowanych sztuk, dochodzi się do wniosku, że najpoważniejszym obecnie zadaniem stojącym przed teatrami lalek, jest właśnie przełamanie owego



niewidzialnego muru oddzielającego go od widza dorosłego. Niekoniecznie odbywać się to musi poprzez sięganie do specjalnego repertuaru, lub sięganie do dramatu. Pokazany na początku festiwalu spektakl teatru MINIA-

TURA z Gdańska — „Mia Muromiec” Wsiewołoda Kurdiumowa, to przede wszystkim piękny, literacki tekst, który w efektywnej, opartej na stylu staroruskich ikon scenografii Gizeli Bachtin-Karłowskiej zadowolił mógł gust najwytrawniejszego teatromana. Gdyby na festiwalu powołano jury mające przyznać pierwsze miejsce, z pewnością należałoby się ono temu właśnie spektaklowi. Pomysłowo rozwiązane zmiany scen i znakomita animacja sprawiły, że wszyscy bez wyjątku widzowie odebrali go jako dużej klasy przeżycie artystyczne.

Chcę dokonać jakiegoś, prowizorycznego choćby podziału przedstawionych sztuk i inscenizacji, trzeba by podzielić je na dwutorowo. Po pierwsze więc, sztuki przeznaczone dla dorosłych, a dla najmłodszych widzów, po drugie — wybitny spektakl „Lili Muromca” i cała plejada, choć bardzo dobrych, ale średniego już rodzaju spektakli. Do sztuk przeznaczonych jedynie dla dorosłych zaliczyć trzeba w inscenizacji zespołu Teatru Lalek im. J. Ch. Andersena z Lublina, balet Sergiusza Prokofiewa „Kopciuszka”. Trzeba podziwiać z jakim zapałem i poprawą dźono animację, oddając znakomicie piękno muzyki i ruchu tanecznego, poprzez opórny bądź co bądź materiał — lalkę. Nie wspominając już o pewnych niedostatkach pierwszego aktu, zacieraających nieco treść, trzeba zauważyć, że zwłaszcza przy zastosowaniu niezbędnych przy lalkach skrótów ruchowych, młody widz absolutnie nie odczyta treści. Z widownią tego rodzaju może sobie poradzić jedynie widz dorosły i to już z pewnym przygotowaniem teatralnym i muzycznym.

Zupełnie innego rodzaju wydarzeniem stał się występ Teatru Lalek z Wąbrzyńska, ze sztuką E. Szwarcza „Nagi król”, opartą na baśni Andersena. Realizatorzy spektaklu — reżyser W. Wietor i kłewicz i scenograf L. S. Rafinowicz, oparli się na zasadzie teatru w teatrze, dając widowni ze wszech miar interesujące. Proste lalki wkomponowane w pomyslową scenografię, oraz zgola operowe wstawki, choć może nie najlepiej wykonane wokalnie, uzupełnił jednak całym szeregiem najzupełniej aktualnych aluzji politycznych i sa-

tyrycznych obrazków, nadając całości nowy, oryginalny charakter. Widzowie dorośli mieli dwie godziny znakomitej zabawy. Gorzej jednak było z najmłodszymi widzami.

Do tejże grupy sztuk można zaliczyć pokazany przez teatr GROTESKA z Krakowa „Piaszcz” J. Tuwima wg Gogola. Natomiast swego rodzaju ciekawostką festiwalu stał się fakt pokazania przez trzy teatry tej samej sztuki — J. Je lisiejewa „Jak się bawić, to się bawić”. Teatry te, to warszawski BAJ, szczecińska PLECIUGA i SWIERSZCZ z Białogostoku. We wszystkich trzech wypadkach realizatorzy rozmaicie poczynali sobie z tekstem. Wszystkie też zabiegi dały jednak w rezultacie podobny efekt. Istotne natomiast różnice można było zaobserwować w ujęciach scenograficznych i projektach lalek. Spektakl pokazany przez warszawski BAJ był z tych trzech najbardziej chyba tra-



dycyjny. Ciekawymi natomiast pomysłami odznaczała się scenografia pokazana przez teatr SWIERSZCZ z Białogostoku, a na szczególne pochwale zasługują projekty lalek zastosowanych przez teatr PLECIUGA ze Szczecina. Wzorowane na tradycyjnych rosyjskich zabawkach lalki — piękna czerwona Baba i in. stanowiły zupełnie nowy, ciekawy element.

Festiwal to jednak nie tylko pokaz teatralny. Towarzyzyło im wiele ciekawych imprez, jak np. wystawy obrazujące rozwój i dorobek sztuki lalkarskiej czy sympozjum poświęcone nowym kierunkom w pracy teatrów lalek. Odbyło się także spotkanie dziennikarzy łódzkich z przybyłymi na festiwal gośćmi z zagranicą. Sergiusz Prokofiew, najwybitniejszy znaną problemom współczesnego lalkarstwa, podkreślił z uznaniem, że zaprezentowane w czasie festiwalu osiągnięcia polskiej sztuki lalkarskiej rokują najlepsze nadzieje na przyszłość. Cieszy nas to zdanie, tym bardziej, że wśród pokazanych na festiwalu porwali, łódzki ARLEKIN i PINOKIO, choć nie okazały spektakle bardzo dobre, ale jednak nie badane rewelacja. Zresztą, najważniejszym dowodem uznania za ich dotychczasową pracę był fakt zorganizowania przez UNIMA właśnie w Łodzi finału festiwalu. Także środowisko łódzkie zasłużyło na wiele słów uznania za sprawną organizację.

Tele-obiektyw

Złodziej czasu

Na raz-dwa-trzy wszyscy, proszę państwa, zamykamy oczy i oddajemy się grze wyobraźni. Wyobrażamy sobie, że nie ma telewizji. Po prostu nie ma. Zniknęła. Chwile oddechem...

No i co? Do czego doszliśmy w naszej grze? Czy możemy sobie wyobrazić powrót do życia bez telewizji?

Najtrudniej przyjdzie to telewizjom w wieku od lat dwóch do kilkunastu. Cały ich świadomy okres życia wiąże się z obecnością telewizji. Nawet jeżeli w ich konkretnych przypadkach telewizor pojawił się w domu niedawno, to przecież idea telewizji rozsiadała w atmosferze, która oddychała.

Starsi pamiętają erę przedtelewizyjną. Ale kilkanaście lat, które nas od niej dzieli, telewizja wypełniła sobą tak intensywnie, że z trudem uzmysławiamy sobie, jak właściwie mogliśmy żyć bez tej magicznej skrzynki w domu.

Jest jeszcze trzeci odłam naszej społeczności. Ci, którzy z nieograbianą telewizją zrobili sobie standard. „Ja telewizji nie oddam” — zwykli mawiać — to złodziej czasu”.

Złodziej? Być może. Interesujące jednak byłoby zbadać, co zyskują ci, którzy obwarowali się przed tym złodziejem i zamykali drzwi swoich mieszkań na trzy spusty. Zakopili sobie na ten temat niedawno Toeplitz i Kobiela w programie rozrywkowym. „Na głowie”, każąc przez cały czas jego trwania czytać J. Nowakowi „Stary baśń” Kraszewskiego. Przeczytał 56 stron...

Czy istotnie człowiek nie wpuszczający telewizji za próg sypialni uchroniony przed złodziejem czasu korzystniej? Czy nie marnotrawi go w inny sposób? Albo czy nie przy pomina skąpca Harnagona, który gromadzi w szkatułce złoto, a sam jada byle jak i chodzi oberwany?

Mnie wydaje się, że programowa rozrywka z odcinaniem telewizji to postawa anachroniczna. To staromodne upieranie się przy stylu życia, który już odszedł w przeszłość. Świadome stawianie się poza nawiasem czasu, którymi pulsuje współczesność. Arystokratyczny indywidualizm prowadzący do izolacji.

Zostawmy jednak adwersarzy telewizji ich poszukiwaniom straconego czasu. My zaś pomówmy sobie na styku starego i nowego roku, jaka jest ta nasza telewizja.

Nie ulega wątpliwości, że wpływa ona w istotny sposób na kształtowanie szerokiej opinii. Stanowi najpowszechniejszą szkołę estetyki,

narzuca określone sady, inspirowa, uczy, informuje. Nie gażety i ich artykuły wstępne, ale Karol Małcużyński w „Monitorze” pomaga milionom ludzi wyrobić sobie poglądy na podstawowe problemy polityki światowej.

Ktoś może powiedzieć, że program telewizyjny jest tylko jeden, że zatem grozi nam pewna uniformizacja myśli i zapamiętania. Otóż nie! Zróżnicowanie treści w łonie tego monoprogramu, który rozpada się na oszczędne pozycje, jednorazowe i seryjne, w których ujawniają się bynajmniej niejednolite poglądy, talenty i temperamenty dość licznej armii autorów i wykonawców.

Inny wysunąłbym zarzut. W telewizji istnieje coś co nazwałbym programowaniem pionowym. W poszczególnych redakcjach powstają cykle, układana jest linia repertuarowa dla określonej dziedziny. Nie istnieje natomiast lub prawie nie istnieje programowanie poziome, które by koordynowało efekty pracy poszczególnych pionów i właściwie je ze sobą spłatało. Program dnia jest przy tej metodzie dość przypadko-

wym zlepkiem, mechanicznym, wewnętrznym nie wyważonym. I to określiłbym jako grzech pierwszy naszej telewizji.

Drugi grzech, to usztywnienie pewnych cyklicznych pozycji programowych. Wypływa ono stąd, że ich redaktorzy pragną być jednocześnie wykonawcami. Sami nie uważają przy tym momencie, w którym do programów ich wślizguje się nuda.

Cenę aktywności i szybki refleks Jerzego Wunderlicha w stosunku do ważnych wydarzeń w świecie nauki i techniki. A przecież jest coś ze stłumienia w niezmienionej od lat formie „Eureki”, w której redaktor uważa za nieśmiertelny kanon ekspozycję na wizji własnej osoby.

Podobny zarzut postawił można Grzegorzowi Lasocie, Lechowi Terpilowskiemu, Krzysztofowi Toeplitzowi i tylu innym. Nawet schemat „Jaka i Agatki” z przemilą bruchomówczynią Zofią Raciborską też prosiłby się już o jakieś modyfikacje. Za wie le jest w telewizji tendencji do eksplorowania bez końca schematów, które w jakimś sposób się na ekranie sprawdziły. A przecież nawet najbogatsze złote żyły z biegiem czasu się wyczerpują.

A jednak, proszę państwa, proponuję otworzyć oczy i przestać wyobrażać sobie, że telewizji nie ma. Mimo wszystkich jej wad — lepiej jest ją mamy! I to niech będzie nasz noworoczny toast za pomyślność telewizji.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

POLETKO TELE-OBIEKTYWU

Nr 3

Smok-nonsens. Sympatyczny program rozrywkowy z Wrocławia z cyklu „Dymek z papierosa” prowadzony był jak zwykle przez Wojciecha Dzieduszyckiego. Prowadzący wypełnił swój kabarek publicznością wybuchającą serdecznym śmiechem nawet tam, gdzie nie było dowcipu. Może z wdziękuścią za to Dzieduszycki rozdzielał na prawo i lewo wśród pań astronomiczne ilości ocalunków w ręce. Na minutę programu przeważyło przeciętnie po trzy ocalunków. Czy to higienicznie? Co na to San-Epid?

Volapük. W Dzienniku Telewizyjnym duża część relacji korespondentów zagranicznych odzwierciedlała — tak słabo — technicznie zapisu magnetofonowego, że słuchamy jak przemowę w obcym nieznanym nam języku. Czasem prezenter telewizyjny przetłumaczył z czarującym uśmiechem za zły stan nastroju. Można by wprawdzie w takich razach po prostu odczytać korespondencje, nie uciekać się do magne tofonu. Ale na to w telewizji nikt jeszcze nie wpadł. Jesteśmy cierpliwi. Poczekamy.

Volapük nr 2. Gorzej z Lechem Terpilowskim, który na trzy wypowiediane sylaby polska co najmniej jedna. Proponuję rozisać konkurs z nagrodami dla tych, którzy najlepiej zdołają zrozumieć zaskłanego barda naszej niosenki. Sam się do konkursu tego nie zgłaszam. Nic nie może zrozumieć.

Do P. T. Czytelników. Poletko T. O. przypomina, że liczy na współpracę widzów w zgłaszaniu zażeń pod adresem TV. W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„PANIE I PANOWIE” kontynuacja demaskatorskiej cyklu filmów P. Germiego — twórcy „Rozwodu po wosku” i „Uwiedzionej i porzuconej”. Znany części naszej widowni z FFF, a więc uwieczniony festiwalowym laurem, wkracza obecnie film Germiego na nasze ekrany i liczyć może na tak dobre przyjęcie jak to, z którym spotkał się on u włoskiej publiczności, choć krytycy filmowi byli znacznie bardziej surowi. No cóż, mieli do tego prawo, tym bardziej, że komediom Germiego nadano wyższą rangę, aniżeli zwykło się to czynić w przypadku tej galei filmowej twórczości. Filmy te traktowano jako ważne ogniwo w walce o nowy model włoskiej obywatelskości społecznej, ogniwo istotne ze względu na zasięg oddziaływania i siłę sugestii. Takie widzenie filmów Germiego spowodowało grymasy krytyki przy „Paniach i panach”, który to film

rangą społeczną na pewno nie dorównuje dziełom poprzednim.

Opuściwszy Sycylię przeniósł się w tym filmie Germi na wenecką prowincję, do Treviso, rodzinnego miasta swego stałego scenarzysty L. Vincenzoniego. Ta wizyta złożona przez Germiego w drugim krańcu Włoch miała przynieść równie ostre konkluzje, jak w wypadku zekniecia się ze społeczeństwem sycylijskim. Włosz obiecywali sobie po tym filmie wiele; czekając na obraz weneckiej prowincji, oczekiwali filmu o hipokryzji, która wszechwładnie rządzi wszelką obywatelskością i moralnością, oczekiwali filmu, w którym nikt nie zostanie oszczędzony, a zwłaszcza nie ostatecznie przed ostrym satyrą kler, który tam, w weneckiej prowincji ma tak przegromny wpływ na kształtowanie oblicza moralnego swych wiernych. Otrzymali Włosz film bardzo

dobry, bo tego młot nie zaprzeczy, nie spełniły się jednak nadzieje na jeszcze jeden film walczący, ostrze satyry stępil Germi na przeszkodzie, której na imię komercjalizm. Nawet wówczas, gdy Germiemu za rzucamy wulgarność, przychodzi refleksja, iż jest ona doprowadzona tylko do tych granic, które gust szerokiej publiczności jest w stanie przyjąć, do momentu, kiedy pozostaje wyłącznie atrakcją natury rozrywkowej. Po premierze swego ostatniego filmu Germi powiedział: „największym obowiązkiem w filmie jest stworzenie dobrej rozrywki”. I tej zasadzie w tym filmie pozostał wierny, choć poprzednie jego dzieła były czymś więcej aniżeli tylko znakomitą zabawą.

Bohaterowie „Pani i panów” bawia nas jednakże świetnie, bezbłędnie dobrani aktorzy wcielają się w role przedstawicieli średniego mieszczaństwa, w których współży-

ją elementy religijności i libertynizmu, „wariackich papierów” oraz życiowej sytości i nudy, a nade wszystko panującej nad tym wszystkim kim hipokryzji, która ułatwia gre wszelkich możliwych życiowych porów. Nawet nam, którzy przecież nie znamy wszystkich kulów życia społecznego i obyczajowego bohaterów filmu, nasuwa się jednak wrażenie, iż twórcy nie dotarli do ich sedna, że przelężają się o powierzchnię spraw, których istotą tkwi znacznie głębiej niż na poziomie łózka i jego problemów. Odnosimy wrażenie, iż sami twórcy dali się wciągnąć w tę grę pozorów, w której celują bohaterowie ich filmów. Pozostaje zatem oscylić jąca między satyrą, a farsą zabawa przedstawiona, przynajmniej nie, komedie — skonstruowana precyzyjnie, poprowadzona w szaleńczym tempie, które nie pozwala nawet na chwilę oddechu.

szerszych kontekstów społecznych, a go bohatera, nie zakończył filmu, a w wypadku obu tych filmów można to zrobić, stanowią zbiorowość, w których pewne zasady życia pozostały takie same. Zmienić ludzi, jak widać, jest bardzo trudno. Trudno jest również rezygnować z naszych żądań o sztukę najwyższego lotu. Stąd nasze żale wobec „Pani i panów” mistrza Germiego i stąd inne, ale jeszcze większe żale wobec węgierskich braci.

EWĄ NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

W DWUCHSETLECIE URODZIN CONSTANTA

Biblioteka Narodowa w Paryżu uczciła 200-lecie urodzin Benjamina Constanta, organizując wystawę poświęconą jego pamięci. Zgromadzone tu ponad trzysta eksponatów takich jak rękopisy



Benjamin Constant

autora „Adolfa”, obrazy, karykatury, listy i zapiski. Benjamin Constant de Rebecque urodził się w roku 1767 w Lozannie, w protestanckiej rodzinie pochodzenia francuskiego. Studiował w Niemczech, Anglii i Francji. W roku 1794 uzyskuje obywatelstwo francuskie. W tymże roku poznaje panią de Stael, a znajomość ta przemienia się wkrótce w długotrwały związek. De Stael wywarła znaczny wpływ na kształtowanie się poglądów politycznych, gustów i na całe piśmarstwo Benjamina Constanta. Jest on walcącym liberałem i zwolennikiem ustroju parlamentarnego. Naraził go to na nienadanie Napoleona i wygnanie w roku 1804 z Francji. W posiadłości pani de Stael w Szwajcarii Constant pisze w roku 1808, wydana drukiem w dzieśnię lat potem, powieść pt. „Adolf”. Powieść ta zalicza się będzie do arcydzieł literatury światowej, a autorowi przyniesie sławę. Dla współczesnych był on głównie politykiem, dziś traktuje się go przede wszystkim jako autora „Adolfa”. Powieść (część akcji rozgrywa się w Polsce) weszła do literatury światowej jako wzór romantycznej analizy uczuć. Bohater obarczony typową dla romantyków chorobą woli, niezdolny do długotrwałej miłości i jakiegokolwiek działa-

nia, przyczynia się do śmierci kochającej go kobiety, gwałcąc tym samym własne szczęście. W czasach Restauracji Benjamin Constant wraca do Francji, gdzie prowadzi ożywioną działalność polityczną jako liberal. Pozostawił po sobie m. in. interesujące pisma publikowane już po jego śmierci, jak „Dziennik osobisty” (Journal intime) i „Czerwony kajet” (Cahier rouge). Napisał też traktat „O religii”. Interesował się twórczością dramatyczną i w roku 1809 dokonał przeróbki Schillerowskiej go „Wallensteina” zaopatrzonej w teoretyczny wstęp. Praca ta nie pozostała bez wpływu na francuską twórczość wczesnego romantyzmu. O teatrze niemieckim na pisał rozważania pt. „Réflexion sur le théâtre allemand”.

Zmarł w Paryżu w grudniu 1830 roku.

PICASSO-THEATRE

Pablo Picasso ofiarował Muzeum Sztuki i Historii na paryskim przedmieściu Saint-Denis osiemnaście rysunków o tematyce cyrkowej i teatralnej. Zostały one eksponowane na specjalnej wystawie. Równocześnie prasa francuska anonuje ukazanie się książki, której autorem jest Douglas Cooper. Praca określana przez krytyków jako wspaniałe dzieło, liczy 360 stron i zawiera 500 ilustracji. Douglas Cooper zebrał wszystko co odnosi się do zainteresowań Picassa teatrem. Jak wiadomo Picasso sam jest autorem sztuki dramatycznej pt. „Pożądanie schwyłane za ogon”. Obecnie dowiadujemy się, że Picasso, napisał jeszcze inną sztukę w sześciu aktach, nad którą pracował w latach 1950 i 1951 w Vallauris pt. „Les Quatre Petites Filles” (Cztery dziewczynki). Sztuka ta jest podobno bardziej krytyczna, mniej groteskowa, a napisana językiem, który żywo przypomina tę naturalną mieszaninę logiki i absurdu charakterystyczną dla umysłu małego dziecka.

KOBIETA TWÓRCA „ODYSEI”?

Jak wiadomo Homer jest twórcą dwóch najsłynniejszych epopei,

„Iliady” i „Odysei”. Na temat tych „dwóch dzieł” oraz ich autora wypisano już tony papieru. Ostatnio z Palermo prasa donosi, że najnowsze badania przeprowadzone przez prof. Barrabini zdają się potwierdzać jego tezę, że to nie ślepy bard, Homer, stworzył „Odyseję”, a pewna Greczynka z Drepanum (obecnie Trapani). Już poprzednio profesor Pocock z uniwersytetu w Wellington wysuwał podobne domniemania, a na długo przedtem angielski pisarz Samuel Butler (1835 - 1902) kiedy tłumaczył „Odyseję” doszedł na podstawie analizy tekstu do przekonania, że dzieło to stworzyła kobieta.

„TAK, NADZIEJA”

Prix Interallié otrzymała Yvonne Baby za debiut powieściowy pt. „Oui, l'espoir” (Tak, nadzieja). Yvonne Baby, czarująca młoda brunetka - jak ją określa krytyk paryski - go „Le Figaro” - jest córką Jeana Baby



Yvonne Baby w karykaturze („Le Figaro”)

ekonomisty, teoretyka marksistowskiego, pasierbica Georges Sadoula, zmarłego niedawno, słynnego krytyka filmowego. Yvonne Baby urodziła się w roku 1932 w Touquet. Od lat dziesięciu jest współpracowniczką paryskiego dziennika „Le Monde”, na łamach którego prowadzi dział krytyki filmowej.

Akcja „Oui, l'espoir” rozgrywa się w Wenecji podczas festiwalu filmowego, ale sprawy filmu nie są pierwszoplanowe. Treścią książki jest życie wewnętrzne bohatera, syna działacza komunisty

cznego. Powieść w swej konstrukcji przypomina niektóre techniki filmowe - teraźniejszość i na wroty w przeszłość przenikają się jak w obrazach filmowych. Powieść obfituje w problematykę polityczną

GOETHE „ODBRĄZOWIONY”

W Paryżu wyszła z druku nowa biografia Johanna Wolfganga Goethego.



Johann Wolfgang Goethe.

tego pt. „Goethe”. Jej autorem jest Richard Friedenthal. Książka jest

próbą ukazania postaci wielkiego niemieckiego poety w nowym aspekcie. Autor stara się przedstawić Goethego, nie nie ujmując z jego wielkości jako pisarza, od strony ludzkich przywar i słabości. Goethe - jak twierdzi Friedenthal - miał raczej ambicję naukową niż literacką. Mimo, że bardzo wykształcony i niesłychanie ambitny dawał się często wciągać w drobne sprawy małego księstwa, tyraniłował, może nawet wyzywał się w tyranizowaniu kilku sekretarzy. Często zakochany, wrażliwy na kobiety, w swej twórczości idealizował przedmioty swej miłości. Nie miał jednak u nich zbyt wielkiego powodzenia, uchodził raczej za nieczułego kochanka, który w końcu ożenił się z kobietą prawie niepiśmienną. Gdy Francja wstrząsała wypadki rewolucyjnej, Goethe w Welmarsze zajmował się w ośmym czasie jakimś drobnym kłótniami. Przysłowiowo łagodny, w rzeczywistości - jak twierdzi Friedenthal - Goethe od czasów młodości miał usposobienie hipoochondryczne. Z wielką drobiazgowością Friedenthal pisze o

działach, uporach i słabościach charakteru Goethego. Jak twierdzi recenzent paryskiego tygodnika „L'Express” książka daje czytelnikowi jeśli nie prawdziwy obraz życia i postaci Goethego, to przynajmniej bardzo zbliżony do prawdy, a on sam, wielki pisarz, staje się dzięki temu mniej po-mnikowy, a bardziej zro-zumiały i bliiski. Mimo wad, a może właśnie dzięki nim, czytelnik odczuwa głęboką sympatię do poety i zaczyna go bardziej rozumieć, a nawet lubić

POWIEŚĆ NAPOLEONA

Z okazji 200-letniej rocznicy urodzin Napoleona, we Francji ukazuje się trzytomowe pełne wydanie jego pism. Zawiera ono będzie m. in. powieść napisaną przez Napoleona, a zatytułowaną „Clisson et Eugénie”. Inspiracją tej powieści był romans przysięgłego cesarza Francuzów z Desirée Clary, córka marsylskiego fabrykanta jedwabiu. Do tej pory powieść w całości nie była nigdy drukowana.

Bez strachu

NIO

Każdy ma prawo do samotności - tylko prawo - bez możliwości egzekwowania. Kto nie chciał choć raz w życiu być zupełnie sam? Siedzieć w mieszkaniu i wodzić: nikt nie zapuka, nikt nie zadzwoni - osiągam samotność bez potrzeby odręcania kogokolwiek. Samotność opłacona odręcaniem zostaje zakłócona myślą o odręcanym, wypełniona wizjami rozczarowanego, skrzywdzonego człowieka. A nawet wtedy kiedy nikt nie zadzwoni, i nie zapuka, myślę o tym, że jestem samotny, bezładny - otaczają mnie tylko sprzęty i oto muszę przypominać sobie tych, którzy te sprzęty wyprodukowali, którzy przynieśli je do mojego mieszkania, którzy na nich siedzieli, kładli na nich ręce, kładli się w czasie wypoczynku i choroby. Moją samotność wypełniają wizje układowych kupców, opasanych ramieniami olbrzymów, którzy sapiąc taszczyli po schodach łóżka i stoły, rodziców zasnających do posłku na krzesłach przy stole, moją siostrę, która niegdyś po pokonaniu zapałonym zimnym ogniem w ręku - tryskającej iskry oświetlała twarz nieżyjących już domowników i - po-wierchnie istniejących jeszcze bardzo postarzanych sprzętów. Tych ludzi już nie ma, zostałam sam w starożytnym mieszkaniu, przypominam sobie Matkę i nieudolnie naśladować jej zrzeczne ruchy rozpalamy węgle w olbrzymim piecu, przypominam sobie Ojca i splatając ręce za plecami, przechadzam się po mieszkaniu, cicho powzdychając, przypominam sobie Siostrę i wydobywam z szuflady zimny ogień, zapalam go i patrzę w kształtne strugi iskier (przede mną zgasim elektryczne światło) na krawcach pola widzenia ogniste kreski przylegają do sprzętów i ścian. Nie jestem sam - przełamana zimnym światłem ciemność, korzystnie osłania, zgrzybiałość otoczenia, pozwala ująć mieszkanie, ani stare, ani nowe, sprzęty bytujące niejako poza czasem - czysta ich natura, konstrukcje bez zniszczonej powierzchni. Tak zimny ogień przetrwaja nieszkodliwie czas i przestrzeń, w przeciwnieństwie do swego wielkiego brata - gorącego ognia, który przetrwaja substancje czasu i przestrzeni w prochu i pył. Pierwszy jest żywiołem nadziei i wyobraźni; - drugi czynu - czy istotnie ten drugi jest więk-szy? Jaka jest między nimi granica, czy bywa ogień ciepły, tylko ciepły, ogień ciepły, tylko ciepły, a może wszystko zależy tylko od tego w jakiej odległości od ognia znajduje się nasze ogrzewane ciało - te iskry nie parzą, nawet jeśli padają na ręce. Pamiętam świeczki palone przed laty na choi-nie i pożar choinki. Kiedy płonęła żywym ogniem pachnąc i skwierząc. Umilkła koleśka i wszyscy domownicy ruszyli do gaszenia maleńkiego ognia. Na podłodze został kikut choinki, opalony ze złota orzech i osmolona polowa twarzy anioła. Przyszli jacyś obcy ludzie i natchnieni oglądali skutki pożaru. Jeden z nich w błokach i z niedużą bródką powiedział, podnosząc palec: „A wojny mianowicie nie będzie”, obecni potwierdzili mu. Oto treści mojej świątecznej samotności, a raczej drobna ich cząstka. Radzę Wam spróbować samotności - być może Wasza samotność okaże się bogatsza od mojej - wydobędzie zdołała w samotnej chwili sprawę zupełnie niespodziewaną, która później towarzyszyć może chwilom codziennym, łacząc się z nimi w ciekawą zaskakującą układ. To co proponuję i co próbowałem przykładowo opisać to tylko samotność pozorna, samotność wypełniona walczeniem z czasem i przetrwaniem pamięci. Każdy ma przecież prawo do samotności, tylko prawo, ale samotność rzeczywista osiągnąć jest tylko raz, jeden, pod koniec - kiedy już jak wrzucony do wody kamień onada przez warstwę ciasta, wspomnień, uczuć, myśli... w nie, Błogosławiona ta chwila i trzeba o niej myśleć bez strachu.

BERNARD SZPAJNERT

TERESA WOJCIECHOWSKA

Dla Łodzi i Nowego Jorku

Przeciętny obywatel wielkiego miasta przejawia umiarkowane zainteresowanie sztuką ludową, a umiar ten jest chyba wynikiem słabych kontaktów z dziełami twórców ludowych, tymi czystymi, nie skażonymi stylizacją czy wręcz fałszywą produkcją fabryczną pseudo-ludowych pamiątek. Umiarkowanie owo wypływa również z faktu, że głównym dostawcą sztuki ludowej do miasta są sklepy Cepellii, a tu na ogół ceny mrożą wszelki zapal do bezpośrednich kontaktów z efektami twórczości ludowej.

Tymczasem na terenie naszego województwa istnieją cztery wybitne, się, bogate w tradycję artystyczną regiony, o dość silnie zindywiduowanym obliczu twórczym. Sieradzkie słynie

zanikającą już formą sztuki ludowej - kowalstwem. Piękne, koronkowe nierzawo wyroby metalowe, wykute w żelazie prymitywnymi, ciężkimi narzędziami kowalskimi, w prymitywnych warunkach kuźni, zachwycają znawców sztuki, znajdują natchnienie nabywców mimo wysokiej ceny. Sieradzkie to również barwne tkaniny, koronki, to zdobnictwo wnetrz: bukiety z pierza, bukiety z bibuły, wianki, wycinanki, rzeźba, a także przedmioty obrzędowe, wózki dyngusowe, niedźwiadki zapustne itd.

Region łęczycki słynie głównie z rzeźby. Józef Kamiński, Filomena Robakowska, Wiktor Ryś, Wacław Czerwinski, Bronisław Grabski i inni - ich małe drewniane arcydzieła znane są nie tylko w Polsce. Tak sa-

mo jak ptaszki Franciszka Marconiaka, plecionki Aleksandra Wawrzyniaka. Pajaki ze słomy i bibuły najpiękniejsze są właśnie w Łęczycy.

Region łowicki wciąż jest niezrównany w wycinankach, barwnych, o charakterystycznym zestawie kolorów, tkaninach, pasiach, narzutach, kilimach, zapaskach. Kwiaty, bukiety z bibuły, bukiety z wlny (specjalność Katarzyny Chlebnej), pajaki, rzeźby.

I wreszcie Rawskie - znów tkaniny: chodniki i szmaczki - te najsłynniejsze z Zakocicela. I wycinanki, bukiety z bibuły, rzeźby.

Nasze czasy skazały folklor na zagładę. Niszczą go nieuchronnie rozwój cywilizacji, techniki. Już dziś nagrywa się na taśmę magnetofonową całe obrzędy ludowe, bajary, przyspiewkarki, kapele, bo jest to ostatnie lub przedostatnie pokolenie, które tradycję wsi pamięta, bądź jeszcze uprawia. Młodzież woli adapter, magnetofon, gitarę. Ze sztukami plastycznymi jest nieco lepiej. Podtrzymuje się ich kultywację między innymi poprzez materialną

opłacalność, stworzenie warunków sprzedaży wyrobów sztuki ludowej. Ma to oczywiście swoje dobre i złe strony. Dobre - bo sztuka ma być w ogóle uprawiana, złe - bo może jej grozić obniżenie wartości artystycznych, pewna taśmowość produkcji.

Ale troska o to, by tak się nie stało jest sprawą odbiorców: terenowych spółdzielni ludowych oraz - i przede wszystkim - Cepellii. Cepellia jako główny odbiorca powinna być - i w jakimś stopniu na pewno jest - nie tylko kupcem, lecz i patronem artystycznym, powinna dbać, by to co nabywa u twórców ludowych, nie stało się wytworem produkcji taśmowej. Region naszego województwa są podobno najbogatsze w ludowych rzeźbiarstwach. Pracuje wielu z nich cieszą się wielkim powodzeniem na granicy - są eksportowane do sklepów Cepellii w Europie i Ameryce. Na przykład rzeźby Mieczysława Zeglińskiego z Ryńska Dużego. Zegliński wyjeżdżał już ze swymi pracami za granicę, był np.

w Wiedniu. „Na co dzień” mieszka w domku oddanym od wsi, zimą i w czasie roztopów trudno do niego dojechać. Rzeźbi nie tylko on, tradycja rodzinna przechodzi na trójkę jego dzieci. Życiowi znajomi namawiają go, żeby przeniósł się do miasta. Wygodnie byłoby na pewno, ale czy jego twórczość pozostałaby taka sama? To sprawy delikatne, których rozwiązanie w jakimś stopniu na pewno powinno być udziałem Cepellii.

Te wszystkie rozważania nasunęły mi się w związku z Tygodniem Sztuki Ludowej, który zorganizowała Cepellia w Łodzi. Impreza miała na pewno i swoje aspekty handlowe, jako że Cepellia to przedsiębiorstwo handlowe, ale miała i aspekty inne. Na pewno popularyzowała w jakimś stopniu twórczość ludową naszych regionów (trzy sklepy Cepellii prezentowały prace twórców z poszczególnych regionów: sklep przy Piotrkowskiej 99 - łowicki i rawski, przy Piotrkowskiej 69 - łęczycki, przy Wschodniej 76 - sieradzki), na pew-

no w jakimś stopniu zainteresowała ludzian piastą ludową. Efektowny pokaz garncearstwa w Pasazie Schillera, gdzie Hieronim Muszyński z Sieradza, w stroju regionalnym pokazywał, że nie święci garnki lepią, zapoczątkował tę imprezę.

Impreza chwyciła, co wykazała i zwiększona frekwencja i zwiększone obroty. Przyniosła zainteresowanie - wreszcie, wzdycha dyrektor Olszewski - rzeźbą, której łódzianie dotychczas nie kupowali, a która szła głównie do sklepów w Brukseli i Nowym Jorku. Rzecz charakterystyczna, że trzy sklepy Cepellii zanotowały znacznie większe obroty niż w tym samym okresie w ubiegłym roku, i to wykomanie je nie zakupami dużymi, lecz drobiazgami, małymi i tanimi. Najwięcej sprzedano wycinanek (po 6 złotych sztuka).

Stąd dla Cepellii moral, że sztukę ludową popularyzuje się najsukceszniej drobiazgami, które wprawdzie są kłopotliwe i nieopłacalne dla sklepu, ale dostępne dla kieszeni nabywcy.

Kim on był?

Prasa roku 1911 często zamieszczała wiadomości o walkach z policją o napadach na pociągi przewożące pieniądze, na kasy kolejowe, na transporty fabrykantów wyplat. Było to wynikiem działalności Grupy Rewolucjonistów-Mścicieli, zdyscyplinowanej, odważnej, nieuchwytniej. Żywymi nie poddawali się. Poczucie krzywdy i nieprawiedliwości tkwiło wśród robotników Łodzi, było powszechne, więc ci co się mścili, obdarzeni legendarną sławą, znajdowali sympatię i jeśli nie pomoc, to pełną dyskrecję.

Policja mogła liczyć tylko na prowokatorów, znających niektórych członków Grupy. Dnia 2 listopada 1911, około godz. 16.00 taki prowokator Feliks Pastusiak, w otoczeniu dwu agentów Ochran, penetrował ulicę Piotrkowską i koło domu nr 53 natknął się oko w oko z jednym z bojowców, Józefem Banaszczykiem — „Banachem”, który, jak się później okazało, szedł w obstawie towarzyszy Władysława Urbaniaka — „Matysiaka”, Jakuba Drynia — „Pędzińca” i Wojciecha Krawczyńskiego — „Zółtka”. Banaszczyk i Urbaniak błyskawicznie wydobyli broń bijąc w grupę agentów. Jeden z nich upadł ranny, odpowiadając ogniem pistoletu, który po pierwszym strzale zaciął się. Drugi agent, z Pastusiakiem wskoczyli do najbliższej bramy, krowie z brauningów nieustannie. Zwiąże to trwało zaledwie parę sekund. Na ruchliwej i jak zawsze rozgadanym ulicy wybuchła panika, ludzie biegli do bram, do sklepów, przewracając się i krzycząc. Słychać było już i jęki rannych, wołanie o pomoc. Od kul agentów rannych zostało niecierpo przechoźników, w tym dwie kobiety. Z paniki skorzystał i bojowiec, z których dwóch pobiegł w stronę ul. Zielonej. Po niej już szli, szybkim krokiem, po obu chodnikach, wzajemnie się ubezpieczając, jak w masaż tego regulaminu organizacji.

Na odgłos strzelaniny nadbiegli rewirów Krzywobłoki i strażnik Jan Owczarek. Ktoś wskazał, że jeden ze strzelających w modnym szarym paltole pobiegł do Zielonej. Skierowano się tam spostrzegłszy mężczyznę idącego gankiem palcie szybko idącego, wezwano go, by stanął. Odpowiedział strzałami, na które policjanci nie pozostali dłużni. Było już trzech mundurowych i agent, koło kina „The-Bio-Express” znowu padł ranny przechodzień a przed synagoga, syn tej portiera, 11-letni chłopiec. Bijąc więc ogniem swego brauninka skupił na sobie uwagę pociąg, ułatwiając ucieczkę współtowarzyszy. Sam biegiem już wpadł do bramy domu nr 6 przy Zielonej, przebiegł podwórce i zniknął w klatce schodowej lewej oficyny.

Krzywobłoki, Owczarek i agent obstawili brame domu, zaś rewirów Wolczan poszukiwał telefonu. Rozdzwoniły się one, sprowadzając pomoc.

Dorożka przybył policmajster m. Łodzi — ppłk. Mikołaj Konstantynowicz Riezanow, zastąpił naczel. Wydz. Śledczego por. Sergiusza Rachmaninowa, 4 agentów, 2 rewirów i 12 strażników. Obstawili bramy, podzieliło się na patrole przeszukujące mieszkania domu, od parteru począwszy. Trwało to dość długo. Dopiero na IV piętrze oficyny zauważono uchylone drzwi poddasza, pchnięto je posiadającym kluczem. Z głębi strychu, bliź mauger, Patrol zbiegł o piętro niżej krzycząc się tam w mieszkaniu. Tu okazało się, że został ranny strażnik Franciszek Wawrzyniak. Z tego tymczasowego lożu nie mogli się już jednak wydobyć, bo ile razy próbowali, kule z góry zagradzały im drogę. Z okna strychu pociski też padały gęsto na podwórze, co nie pozwalało przybyć na odsiecz „uwieczonym” policjantom. Z okna tego mieszkania strażnik Wawrzyniak, wyrzucił zakrwawione buty, z czego wywnioskowano, że ktoś tam jest ranny.

Wezwano straż pożarny, ta od ulicy, po drabinie weszła do mieszkania na drugim piętrze, przedostała się do pomieszczeń pod uwiecznionymi, wybiła otwór w suficie i wywołała ich, wynosząc rannego strażnika. Z opowiadań wywołanych wynikało, że na poddaszu słyszeli niewyważnia do czułości, takby tam było gwałt bojowców. Pytano ich ponoć, jak długo będą się ukrywać ile mają naboju. „Wystarczy”, usłyszeli w odpowiedzi.

W międzyczasie przybywali posiłki — wszyscy łódzcy przystawowie, kilkunastu rewirów, agentów śledczych i około stu strażników. Otoczono dom, zagrodzono ulicę od Piotrkowskiej i Promenady — do niektórych mieszkań wprowadzono policję zajmując okna pozwalające na obserwację strychu i rynek, gdyby po nich chciał ukrywać się opuścić na ziemię. Zaleto też dachy pobliskich domów. Podwórce jednak było puste. W czasie tych strategicznych posunięć policji, korzystając z zapadającego zmroku osaczony, bijąc gęsto z mautera usiłował parę razy utworzyć sobie drogę do ucieczki. Daremnie, napotykał też na oświeł zaporowy, powdował nawet próby ścigania go. W czasie takiej próby, jeden z odważnych strażników, Wawrzyniak, został ranny.

Kierującemu akcją proponowano obezwładnić obłożonego silnym prądem wody z sikawek, odurzenie gazami chemicznymi, zapaleniem dachu nad kryjówką — policmajster odrzucił te projekty, mimo że polecił ewakuować mieszkań

ców. Liczył na zmęczenie, bezsenność i głód dokuczający obłożonemu. Dwadzieścia cztery godziny już upłynęło a nieustannie do niego strzelano.

Nazajutrz, 3.XI., około 2 ppół, do policmajstra zezwolił się adiutant gen. Wasiliewa, dowodzącego garnizonem Łodzi, z propozycją nadesłania plutonu wojska z karabinami maszynowymi (zwanyymi wówczas „pulmiciami”). Przyjął propozycję. Przybył pluton zajął stanowisko na dachu domu nr 5 (naprzeciw) oraz na dachu domu róg Piotrkowskiej i Zielonej. Na obu osadzono karabiny maszynowe, strzelając przez 10 minut. Dach na oficynie podziurawiono jak rzeszota, w szczytowej zaś ścianie domu od Piotrkowskiej, w murze, wybito strzałami otwory. (Po-

rezerwuarem wodnym, na koczecie, w pozycji siedzącej znaleziono zastępcę zwłoki. Obłożony miał przestrzeloną skroń, odebrał sobie życie. Był odziany bardzo starannie w ubranie nowym, koloru ciemnego, na głowie kapełusz piśniowy, zielony, obok leżał szary paltot. Na nosie miał binokle. Karabinek mautzerowski przewieszony przez plecy. Na koczecie, wypadł z rak browning. Pare magazynków z obu pistoletów, w zapasie jeszcze około 100 naboju. Na podłodze, podarte na drobne kawałki, paszporty. Po złożeniu ich ustalono, że jeden opiewał na Franciszka syna Antoniego Potabskiego, wydany przez burmistrza Sieradza, drugi nie wypelniony, posiadający natomiast dwa meldunkowe stemple z ul. Wólcowskiej 12 i Włocławy 15. Jak stwierdził lekarz

dnia 12 listopada prekurator zezwolił na pogrzeb, choć co do nazwiska nie był przekonany. A w mieście szerzyła się legenda, że obłożony zbiegł. Legenda przetrwała lata.

Aleksy Rzewski wspomina (rok 1931), że Drynia był z zawodu kowalem, posiadał olbrzymią siłę, odważny, zaradkowny w najsłabszych chwilach życia. Był członkiem Organizacji Bojowej PPS. Z ostatniej okresi udało mu się wyjść obronna ręką. Mianowicie, po dwu dniach obrony, jeden ze strażników, licząc, że bezsenność i zmęczenie obłożonego zmogą go — cicho podkradł się na strych, by ująć żywym bojowca. Mylił się, Drynia czuwał. Złapał go uderzył w głowę strażnika, pozbawił go życia — a rozebrawszy, sam ubrał się w jego mundur i

ki jeł się dostały. Możliwe, że chcąc się pozbyć nowych kłopotów, na pytanie prokuratora Piotrkowskiego, a następnie sędziego śledczego radomskiego o rewolucjonistów-mścicieli Stanisława Bednarkiewicza — „Sergieja”, odpowiedział, że został zabity na ulicy Zielonej. Na żądanie aktu zgonu, który nie został sporządzony, policja zwróciła się do parafii św. Krzyża o dokonanie tej czynności i nadesłanie aktu. Brzmiał on — „Akt zgonu Nr 150/3/1912. Działo się to w parafii św. Krzyża, dnia 30.I.12.II.1912 r. o godz. 5 ppół. Rozporządzeniem łódzkiego wydziału śledczego z dn. 28.I.10.II tegoż roku Nr 584 zawiadomiono nas, że dn. 21.X st. st. 1911 r. w m. Łodzi, w domu przy ul. Zielonej Nr. 6 przy zbrojnym oporze przeciw policji został zabity Stanisław Wojciech Jan Bednarkiewicz, lat 22, katolik, niemiecki poddany. Na podstawie tego zawiadomienia został sporządzony ten akt...”

Kimże więc był ten obłożony z ul. Zielonej? Nie ustalono i do dzisiaj Rewolucjonisci-Mścicieli zobowiązywali się ginać bezimiennie.



Obłożenie domu zajętego przez Rewolucjonistów-Mścicieli.

tem skorzystał z nich obłożony, wysuwając broń ostrzeżeniową ulicę. Po huraganowym ogniu nastąpiła przerwa, zapadła cisza. Oczekiwanie, czy obłożony żyje? Tak, strażnikom dał znać, że czuwa. Wówczas zaprzestano ognia, wznowiając akcję o 6 rano dnia następnego (4.XI.).

Na miejsce przybył pomocnik warszawskiego generała gubernatora, generał-leutnant Uthoff i prokurator Piotrkowski Łaszyński. Przy nich spróbowano jeszcze jednej formy walki — oficer artylerii, wyłomami, dokonującimi przez straż ognia, do stał się do lożu pod obłożonym, podłożył naboju dynamitowy. Wybuch spowodował, że w domu wyleciały wszystkie szyby, narużone zostały schody, lecz sufity pod obłożonym nie zerwało.

W jakiś czas potem na strychu rozległ się strzał. Policja wznowiła ogień mautzerów. Bez reakcji już. Oczekano jeszcze jakiś czas, z zachowaniem ostrożności, po drabinie dostano się na strych, wchodząc, zaś ostrzelano jego wnętrze. Bez odpowiedzi. Posuwano się dalej. Za-

zabity był ranny w nogę, prawdopodobnie w czasie pościgu pierwszego dnia. Rana była umiejtnie zabandażowana i zaschnięta. Widocznie ta rana była powodem, że dalek nie uciekał.

Kim był zabity?

Początkowo przypuszczano, że Józefem Banaszczykiem. Rodzina zaprzeczyła. Do zabitego przywieziono rannego w zacięciu agenta, który twierdził, że to Józef Piatek „Sep”. Główny przywódca Rewolucjonistów-Mścicieli. Zwieleni do prosektrium rodzice tego ostatniego, zaprzeczyli by to był ich syn. Gorączkowo prowadzono dochodzenia, rewirów we wszystkich uczestkach pokazywali fotografie zabitego, do którego sprowadzono ludzi. W końcu rozpoznano w nim Jakuba Drynia, pracownika Depot Kolej Kaliskiej. Aresztowano jego kochankę, Helenę Marecką, uzyskując od niej ostatni adres jego — Srebrzyńska 26. Mieszkał katem w zakładzie stołarskim Edwarda Zgody, pod innym nazwiskiem, sąsiedzi jednak słyszeli, że nazywano go Drynia. Prasie podano więc to nazwisko, jako pewnik. W

plaszcz, zabitego odziewając we własne ubranie. Posadził go na koczecie, włożył na nos binokle. Zezedł na dół, wmlęszal się w zmęczonych strażników, wyszedł i znikł w ciemności nocy. W zabranym, a przewiezionym do prosektrium mężczyźnie — po trzech dniach — poznała rzekomo swego męża żona strażnika, który mimo zakończenia działań do domu nie powrócił.

Drynia pono, po wyleczeniu się z rany u znajomych, wyjechał do Niemiec, skąd do Ameryki, z której powrócił w roku 1914 do Galleji, wspiął do Legionów Polskich, zginął pod Krzywobłotami. Jak każdy Królowski był w Legionach pod obcym nazwiskiem.

Natomiast obrońca wieźniów politycznych, Leon Berenson, w drukowanych impresjach w r. 1937 pod tyt. „Z sali śmierci”, wspomina „Pędzińca” (pseudonim Drynia) — „który w Łodzi na Zielonej, ze swoimi przez dwa dni walił z mautzerów do wojska, by przerwać kordon i ukryć się w lasach”.

I policja łódzka nie była zupełnie pewna, czyje to zwłó

1. Feliks Pastusiak sprzeniewierzwszy się towarzyszem, w obawie konsekwencji, zgłosił się do Ochran, szef której, rotmistrz Leontynowicz w raporcie do przełożonego pisał: — „Pastusiak należał do podejrzanych o zdradę, w pewnych okresach ukrywał się i wstąpił do służby w Ochranie, w charakterze agenta opłacanego od sztyki, od wartości podawanych doniesień, co w walce z rewolucjonistami-mścicielami okazało się nieodzowne”.
2. Ob. Aleja Kościuski.
3. Tygodnik satyryczny „Mucha” (W-wa, 10.XI.1911) wykpił działalność łódzkich władz wierszykiem:

O tem co się działo w Łodzi
Rzec się krótko tutaj
godzi!

Władze dziś zwycięstwa
syrte
Uspili w lot bandytę,
Wystrelizwszy w czasie
czynu

Milion strzałów z
karabinu,
Z mitralieży milion
równie

Do bandyty wstrzyśko
głównie,
Choć i trochę też na
stronę

Razem w liczbie dwa
miliony,
Z czego dostał ów
bandyta

Strzały trzy, Z tych
zmarł i kwiał!

4. Rewirów F. M. Wiczołek w raporcie z dnia 30.IV.1912 donosił władz, że „Drynia binokli nie nosił, natomiast nosił je Stanisław Bednarkiewicz, niemiecki poddany, korzy stał się z paszportu Jakuba Drynia, a będący również członkiem bandy Rewolucjonistów - Mścicieli”.
5. Jest to fragment przygotowanej pracy pod tyt. „Matylda i Mścicieli”



Lewym
okiem

TO WIELKIE MIASTO!

Przed paroma tygodniami „Głos Robotniczy” zamieścił niewielkie zdjęcie z podpisem: Łódź w nocy. Zdjęcie było prawie jednolitą czarną plamą, z rzędem wąskich światełek tuż przy ziemi — to pewnie, wiatryny sklepowe. Nie wiemy, czy intencją redakcji było pokazanie, jaka ciemna jest Łódź — w takim razie cel został osiągnięty. Jeśli chcieli pokazać, jaka świetna jest Łódź — zdjęcie mimochodem stwierdziło coś przeciwnego i jego publikacja może nie była konieczna. No, ale skoro opublikowano, to porozmawiajmy.

Ktoś przyjeżdżający do Łodzi z zewnątrz, wysiadając na Dworcu Fabrycznym, albo Kaliskim, albo na Chojnach — wchodzi z oświetlonego peronu wprost w gęstą ciemność. Oczywiście, o ile nie świeci słońce, które potrafi się przebić nawet przez grube warstwy dymu i pyłu, stanowiące naszą łódzką specyfikę. Przez czarny park kolejowy do starej ulicy Narutowicza, przez długie, ciemnoszare uliczki Kopernika, Karłowicza, Gdańską, Wólczańską, przez nieskończone i równie mroczne ciemności Chojen — wszystkimi drogami przybysz ciągnie ku Piotrkowskiej, która dla niego jest całym miastem. Tam jest widno. Trochę od lamp ulicznych, rozświetlonych nad jezdnią, trochę od neonów, najwięcej od wystaw sklepowych. Jeśli mijają się kilka domów bez oświetlonych parterów — od razu mrok wylaży spod ścian, pełen smętku, lęku, melancholii.

To Piotrkowska. Dla nas, tubylców, nie jest ona przecież jedyną ulicą do chodzenia. Skręćcie w którąkolwiek z przecznicy: już po kilkudziesięciu krokach mrok zupełny. Czasem tylko błysnie wielki neon, w którym pali się co druga litera; nie wiadomo zresztą, komu się pali. Zakłady przemysłowe, rozlokowane po tych bocznych ulicach i uliczkach, wykonują swe zobowiązania wobec miasta. Włączają się w akcję neonizacji. Neonizują. Stawiają na dachu za wieleset tysięcy złotych słowo tak wystylizowane, że ledwie czytelne, tak mrugające, że w pięciu sąsiednich domach spać nie można, słowo dla słowa, sztuka dla sztuki. Kto wie, czy za te same setki, wieleset ty-

sięcy złotych nie lepiej byłoby najpierw po prostu oświetlić ulicę. Boję się, że te słowa zostaną poczytane za jeszcze jeden objaw wiecznego malkontentstwa. Pozwólcie więc; nie ja pierwszy! Nie tylko ja! Przed siedmioma co najmniej laty „Szpilki” zamieściły już na pierwszej stronie złośliwy rysunek pod hasłem: „Neonizacja polskiej wsi”. Wielki neonowy napis głosił: „Tu stodola”. „Tu stawa”. Stawa był zaś nadal zwycięczym kaczym dółkiem, a stodola starą, zgrzybiłą szopą. To nie ja, to „Szpilki”.

Z mrocznej ulicy wchodzimy do klatek schodowych; w starych domach wiszą na klatkach wątlutkie żarówki. Wszak wysoko, trudno je uszkodzić, więc jak mogą tak świecić. W nowych białkach naciska się guzik i już powinno być widno na tych parę minut, potrzebnych, żeby dobrać na czwartaka. Powinno, ale nie jest. Nawet jeśli się znadzie guzik, a to nielatwo, jeśli — jak w moim domu — ów guzik nie okaże się dzwonkiem do młtej starszej pani z parteru, bo ten od światła umieszczono właśnie przy drzwiach tej pani, żeby było śmiesznie — nawet jak ktoś wie o tym i znajdzie i nacisnie — to mu najwyżej trzaśnie, błysnie, mrugnie i potem jest jeszcze ciemniej. I nie ma na to innej rady, tylko usiąść i czekać, aż naprzeciwko załoga neon. Wtedy będziemy się przyzwyczajali do spania w pełnym świetle tak, jakśmy przywykli chodzić, śpieszyć się i spacerować bez światła. Przyzwyczaić się można do wszystkiego.

C W I E K